Rok IV. Kraków, dnia 16. Stycznia 1910 r. Nr. 3.



TYGODNIK OBRAZKOWY KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Wychodzi na niedzielę.

Przedpłata: Rocznie 4 korony, półrocznie 2 korony. — Do Ameryki 2 dolary, — do Niemiec 6 koron. — **Prenumeratę** przyjmuje **wyłącznie** Administracya „Roli“, Kraków, ulica Garncarska l. 1. — Cena ogłoszeń 20 halerzy za wiersz czteroszpaltowy. — Adres na listy do Redakcyi i Administracyi (z wyjątkiem listów o prenumeratę): Drukarnia W. Korneckiego i K. Wojnara w Krakowie, Rynek główny L. 8, I. piętro. — Numer pojedynczy 10 halerzy.

KARNAWAŁ.

Czas od świąt Bożego Narodzenia do środy popielcowej nazywamy karnawałem. Słowo to pochodzi od wyrazów łacińskich: „c a r o v a l e!“ (czytaj: karo wale), co znaczy po polsku: „mięso, bywaj zdrowe!“. Już od wieków różne ludy chrześcijańskie przed nadchodzącym wielkim postem żegnały mięso wesołemi zabawami i ucztami mięsnemi. Zabawy te we Francyi i we Włoszech, gdzie najpierw powstał karnawał, przypominały żywo pogańskie uciechy ku czci bożka pijaństwa Bachusa. — Karnawał włoski, a zwłaszcza rzymski i wenecki, jest dotąd szeregiem zabaw ulicznych, w których bierze udział lud cały bez wyjątku.

W dawnej Polsce huczne też były zabawy karnawałowe, zapustne z maskaradami i wiejskimi kuligami. Ludzie zamożniejsi urządzali je po największej części w ten sposób: Do pierwszego lepszego dworku zajeżdżała młodzież tłumnie z muzyką i śpiewami. Gospodarstwo przyjmowali ich z otwartemi ramionami, zwłaszcza jeżeli mieli dorosłe córki. Zabawa rozpoczynała się na dobre i trwała nieraz do rana. Przybyli zabierali wreszcie domowników ze sobą i tak zwiększone towarzystwo udawało się do następnego dworu, gdzie zabawa rozpoczynała się na nowo. Tańczono i bawiono się często dzień i noc. Gdy zjedzono i wypito, co było przygotowane, całe towarzystwo udawało się dalej i dalej, aż z czasem taki kulig dochodził do kilkudziesięciu sań.

A co to było uciechy w takiej jeździe! Umysły, podniecone zabawą i trunkami, wysilały się na coraz nowe żarty, na coraz lepsze figle. Jazda taka kończyła się dopiero z nadejściem środy popielcowej, gdy wszyscy, nieraz wprost z zabawy, udawali się do kościoła, aby ksiądz posypał głowy popiołem.

Kuligi te jakkolwiek ładne i wesołe, nie były dobre, gdyż tracono na nie drogi czas, pieniądze i zdrowie. Ale z drugiej strony, gdy nadszedł wielki post, przodkowie nasi pościli bardzo, pościli surowo, jakby dla przebłagania Boga za wesołość karnawałową. Nawet w domach ludzi bogatych przez cały post nie ujrzałeś kawałeczka mięsa, a w środy, piątki i soboty nie używano nawet gotowanej strawy.

Kościół katolicki uznawał zabawy owe za niedobre, a ponieważ te zabawy odbywały się po największej części w ostatnie dni karnawału, zaprowadził w te dni uroczyste nabożeństwa kościelne, tak zwane czterdziestogodzinne nabożeństwa. Chciał tem odwieść ludność od zabaw, a zatrzymać ją na modłach w kościele. Ale skutek był taki, że kto chciał iść do kościoła, to poszedł, a kto na zabawę, to szedł na zabawę.

A dziś jakże jest?

Kuligi dawne poszły w zapomnienie, lecz w czasie tym zabawy trwają w najlepsze. W karnawale kojarzy się najwięcej wesel, a gdy wesel braknie, to zawsze znajdzie się jakiś powód do urządzenia zabawy. Myliłby się, ktoby sądził, że ludzie chcą wyzyskać ten czas, w którym wolno przed postem urządzać zabawy, gdyż powodem jest pora stosowna do wesołości. Roboty wszelkie cięższe dawno się skończyły, pozostaje czasu wolnego dużo, przytem komory przeważnie dobrze zaopatrzone, więc też i do zabaw i wesołości skłonność większa. A i do wesela — w wolnym czasie niejeden prędzej się namyśli do żeniaczki, zwłaszcza, że mu w czasie wiosennych zajęć żona będzie potrzebna, a nadto na urządzenie wesela więcej jest w tej porze wolnych chwil. To też wesołość w karnawale jest ogólną, czy to w mieście, czy na wsi, w pałacu czy biednej chacie. A wesołość i uciecha ta jest dobrą, bo odświeża i odżywia świat, byle tylko była s t a t e c z n ą i p r z y z w o i t ą, a nie przeradzała się w nadużycia i pijatyki. Wszak i Pan Jezus brał udział w zabawie w Kanie Galilejskiej.

Krzyżacy na Litwie.

V. WYNIOSŁA BRANKA.

Podział łupów. — Rycerz na uboczu. — Branka na skrzyni. — Gniew Jagiełły. — Świętości chrześcijańskie. — Opowiadanie Dowojny. — Choroba rycerza i ratunek. — Urodziwa Polka. — Łaska książęca. — Helena mdleje. — Zaprosiny do zamku.

Gdy dzień naznaczony do działu łupów nastąpił, Jagiełło z bracią wyszedł na plac Perkuna, gdzie też wodzowie i rot naczelnicy, mający pod swym dozorem wojenne korzyści, wcześnie zgromadzeni, czekali na przybycie pana. Księżna Olgierdowa z córką i wyższem niewieściem pogłowiem, ciekawa widzieć rzadkie zazwyczaj na Polsce zdobycze, zajęła miejsce w bliskości synów. I Jerbut z całym orszakiem kapłanów, znajdował się tamże. Wkrótce, na znak dany przez trąby, zaczęto znosić różnego rodzaju plony. Wory pełne szat i futer kosztownych, naczynia srebrne i złote, kufry, szkatułki, siodła, konie, oręże i drogie sprzęty kobiece, wszystko to zgromadzono na kupę. Jagiełło, siedzący na stopniach Perkuna, spólnie z wodzami każdą rzecz szacował i cały zbiór potem na trzy równe rozdzielał części, to jest między kapłanów, wojsko i skarb książęcy.

Gdy się to działo, rycerze niższego stopnia, jedni, przypatrując się zdobyczom, otaczali sąd dzielczy, drudzy z przyjaciółmi po gospodach szukali wczasu i rozweselenia. Między innymi widziano na uboczu, ze spuszczonym na oczy szyszakiem,*) w ponurej postaci opartego o konia, pięknego wzrostu rycerza, a przy nim siedzącą na wozie ładownym niewiastę. Był to mąż w kwiecie wieku, niezmiernie zwięzłego składu. Plecy jego barczyste, ściśnięte hartowną zbroją, ukazywały w części kark gruby, opalony od słońca. Na lewem ramieniu, zarzucona niedbale, wisiała niedźwiedzia skóra; dłoń szeroka spoczywała na rzemieniu, a gęsty zarost rudych włosów, jak gdyby grubą korą odziewał posiekane policzki. Niewiasta, siedząca na wozie, miała spuszczoną na twarz zasłonę. Krój sukni objawiał w niej Polkę. Znać było ze smutnej postawy, że była branką rycerza, a bogaty haft sukni świadczył, że wziętą była z domu znakomitego. Przechodzący wojacy z ciekawością na nią spoglądając, chcieli nieraz dotknąć się zasłony dla widzenia twarzy; lecz wzrok gromiący rycerza, którym z pod szyszaka rzucał, rozbrajał ich śmiałość i zbliżenia nie dopuszczał.

— Słuchajno, bracie! — rzekł jeden — wszyscy oddają zdobycze do działu, czemuż nie niesiecie tej skrzyni, na której siedzi wasza branka milcząca. Czy chcecie zataić?

Na te słowa spojrzał z pogardą rycerz na wojaka i nic nie odpowiedziawszy, obrócił się do branki, a na wszystkie dalsze przymówki nic nie odpowiadał, ani zdał się nawet ich słyszeć. Oczy jego ciągle były zwrócone na brankę.

— Bracie — rzekł jeden ze śmielszych — on chce pewnie, żeby mu trudu oszczędzić. Czyż nie widzicie, że ranny jest w ramię? Hej! pomóżcie mi tylko, będzie ona nasza. — I ściągnął rękę po skrzynię.

— Wara! — krzyknął wtedy rycerz, przenosząc rękę na oręż. — Wara! jeśli nie chcesz, żeby twój łeb był pod mojemi nogami. Nie żądam źdźbła z ogólnej zdobyczy, lecz biada temu, kto po moją sięgnie!

Cofnął się wojak od wozu, mierząc nieufnem okiem rycerza. Towarzysze jego w śmiech rzecz obracając, pytali rycerza, co ma takiego w skrzyni, że ją tak broni, ale on i na to nic nie odpowiadając, zdał się pilnować tylko skinień swej branki.

Tymczasem sąd dzielczy odbywał się z pośpiechem i starannością, jakich tylko wymagał tak liczny i bogaty zbiór plonu. Jagiełło, zatrudniony podziałem łupów, które ciągle zewsząd noszono, odzywał się niekiedy do matki, tłumacząc jej przeznaczenie niektórych przedmiotów.

— Bogowie — mówił — dali nam piękny pożytek, a mało krwi od nas żądali. Prawda, w odwrocie trochę nas uskubnęły Lachy, ale gdzie drwa rąbią, tam muszą lecieć trzaski. Znać, że Polska długo gości nie miała, bo się spanoszyła nieźle. Już to z nimi trzeba zawsze prędko a niespodzianie. Nieprawdaż, bracie Skiergiełło?

— Zapewne — odpowiedział Skiergiełło. — Ale powiedzcie nam, panie, co zrobimy z tą zgrają więźniów, którycheśmy ze sobą przywiedli? Czy będziemy i tych próżniaków chlebem naszym rozpychać?

— Nie troszcz się, bracie Skiergiełło. Kogo stało na mięso, stanie i na krupy — odpowiedział książę. — Będą nam pomagać odbudowywać zamki, które niegdyś ich ojcowie popsuli. Nie dam ja im próżnować, niech się tylko rozgoszczę.

— Dawny zwyczaj, prześwietny książe — odezwał się Jerbut, — poświęcał najznakomitsze więźnie bogom na ogień.

— Ba! aleśmy w ich popiołach nie znajdowali złota — odpowiedział książę. — Na ogień mamy lasy, więźnie niech będą zatrzymani do przyjazdu Lachów z okupem. Są też i u nich nasi rycerze, radbym, iżby mi wróceni zostali. Ale, ale, dawno nie widzę mego dzielnego Dowojny. Czyli zostawszy w odwodzie, nie dostał się czasem w ręce Polaków. Bo to on do ostatniej kropli radby wszystko z nieprzyjaciela wycisnął.

— Nie wzięło go licho — rzekł jeden z rycerzów — ale pojmawszy w plon jakąś Laszkę, nie może się od niej oderwać, a co gorsza, nie chce łupów oddać do działu.

Książę kazał natychmiast zawołać rycerza.

— Dowojna, do pana! — rozlegały się głosy po całem przestworzu.

Usłyszał je rycerz, kazał woźnicy obrócić ze składem przed posąg Perkuna i stanął śmiało przed księciem.

— Cóż to? — rzekł groźnie Jagiełło — tyś mi się widzę spolaczył? Czemu to dotąd z łupami nie stajesz? Czy myślisz, że łeb twój na karku pewniejszy dlatego, żeś mężnie stawał pod Zawichostem? Zuchwały, to była twoja powinność! Wiem dobrze, żeś na przodzie najbogatsze dwory najeżdżał i najpiękniejsze Polki brał w jasyr; wiem, żeś najpierwszy z twym hufcem wszedł w sandomierskiem na świętą górę Polaków*), zapewneś tam nie pełzał na klęczkach; umiałeś mnichom gębę otworzyć; były tam bogactwa niezmierne; znam cię, masz wiatr przedni, pokaż więc, jakeś się sprawił? Zresztą już cię uwalnia nasza łaska od podziału żyjących łupów, jakkolwiek szacowane być mogą, rób

*) Szyszak, czapka żelazna rycerska.

*) Góra Świętokrzyzka, na której klasztor OO. Benedyktynów, przez Chrobrego założony.

z niemi, co ci się podoba; ale złoto, srebro, musisz do najmniejszej szczątki wszystko tu złożyć.

— Dobrze, książę — odpowiedział Dowojna — bierz konie, rynsztunki i pełne drogich kamieni szkatuły, wszystko to twoje, niczego nie zataję. Dwadzieścia wozów mojego plonu najpierwsze weszły na zamek, drugie tyle jeszcze w drodze; czyń z tem wszystkiem, co ci się podoba, ale zostaw mi tę skrzynię jedną.

— Cóż się takiego w niej znajduje? — zapytał książę.

— Bóstwa chrześcijańskie — odpowiedział rycerz.

— Bóstwa chrześcijańskie? — ponowił zdziwiony książę. — Dowojna, tyś oszalał!

— Bluźnisz — rzekł do Dowojny Jerbut. — Bóstwa chrześcijańskie, równie jak inne łupy, należą do działu.

— Cicho! — przerwał groźnie Jagiełło, a odwracając się do Dowojny, rzekł: — Czemuż chcesz, żebym ci te bóstwa zostawił?

— Muszę je odwieźć do Polski — odpowiedział rycerz.

— Wart jesteś, żebym kazał język ci wyrwać; ale wprzód musisz wyznać, co ci jest powodem do tak występnych zamiarów.

Wszyscy rycerze skupili się około Dowojny. Księżna Olgierdowa, Aksena i całe zgromadzenie, cisnąc się do niego, ciekawe było dowiedzieć się, jaką da przyczynę tak dziwnego żądania.

— Tak jest, weź mi życie — rzekł smutno rycerz — nic ci już po mojej dzielności, przepadła ona na wieki. Ale posłuchaj wprzód, i wy koledzy z mojej przygody bierzcie ostrożności przykład. Kiedym, niszcząc Sandomierza włości, wdarł się na Świętokrzyzką górę i napełniwszy tę skrzynię zdobyczą kościelną, spieszyłem za wojskiem napowrót, zły duch mnie skusił, żem za plonem zboczył do pięknego dworu, który niedaleko stał drogi. Nie zastałem już tam nikogo, prócz starego pana z córką, czekających spokojnie śmierci. Szlachcic siwy siedział nieporuszony, córka blada, klęcząc u nóg jego, krzyż w ręku trzymała. — Gdzie masz twe złoto i skarby? — zawołałem, przykładając miecz do piersi. Starzec zalękniony nie mógł nic odpowiedzieć, lecz córka jego: — Dobry rycerzu! — rzekła łagodnie — dom nasz, skrzynie i szafy otwarte, bierz, co ci się podoba, nic nie ukrywamy, weź mi i życie; lecz przebacz ojcu mojemu. — Jak słońce lód kruszy, tak jej wzrok odrazu zniszczył męstwo moje. — Weź twe zbiory napowrót — odpowiedziałem — lecz córka twoja jest moją branką. — Słuchaj mnie, rycerzu — mówił drżący starzec — cóż ci przyjdzie z biednej dziewczyny? do pracy się nie zda, zamrze ci w drodze. Skarby, które tu widzisz, jeszcze są niczem w porównaniu do tych, których ci mogę dostarczyć. Wierz mi — pieniądz jest lepszy, niż gładka dziewczyna. Od stóp do głowy złotem cię okryję; zostaw mi tylko tę starości pociechę. — Jam rzekł: Pierwej ci wszystkie zdobycze i tę szablę oddam ostatnią, niż wydrzeć sobie pozwolę twą córkę. Ona moją branką i musi ze mną jechać do Litwy. — Kazałem tedy towarzyszowi złożyć zabrane w domu jego łupy i wziąwszy na koń brankę, puściłem się z nią jak wiatr ku Litwie.

— Goniły mnie narzekania starca — mówił dalej Dowojna. — Pędziłem z towarzyszami, o tem myśląc jedynie, żebym z moją zdobyczą stanął jak najprędzej w Litwie. Ale bogowie skarali zaślepienie moje. Hufiec Polaków zastąpił mi drogę u Wisły; przebiłem się z orężem w ręku, lecz ranny zostałem. Rana mi dojmować zaczęła. Przymuszony przesiąść się na wóz, na którym złożone były rzeczy kościelne, dla ulżenia ciężaru chciałem sprzęty między towarzyszów podzielić; ale branka moja, padłszy na kolana, zaklinała ze łzami, żebym się nie tykał świętości i na miejscu, jak były, zostawił. Stało się podług jej woli. Rana moja tymczasem coraz w gorszym była stanie. — Dowojna! — rzekła poczciwa dziewczyna — ty cierpisz, Bóg cię karze za krzywdy nasze! Może stracisz rękę, którąś znieważył kościół Jego święty, którą ojca z córką rozdzieliłeś. Ale B ó g n a s z k a ż e n a m n i e p r z y j a c i o ł o m p r z e b a c z a ć i ratować ich w nieszczęściu. Posłuchaj mnie: zatrzymaj na czas pewien twą podróż, znam się na ran leczeniu i spodziewam się wkrótce wrócić cię do zdrowia: przeciwnie, jeśli dłużej zaniedbasz opatrzenia ręki i nie użyjesz wczasu, rana może zostać śmiertelną, a wtenczas próżnemi byłyby wszelkie starania. — Usłuchałem i wyprawiwszy towarzyszów naprzód, w najpierwszej litewskiej zatrzymałem się wiosce. Zaczęły się sprawdzać jej przepowiedzenia, gorączka i osłabienie razem mnie uderzyły; moja branka dzień i noc mnie pilnowała; ona moje pragnienie gasiła, opatrywała ranę, przyprawiała pokarm i wkrótce wróciłem do zdrowia. Książę! rycerze! kiedym bez pamięci leżał opuszczony od towarzyszów, przyznajcie, nie byłoż w jej mocy odebrać mi życie? mogła mnie wreszcie zostawić losowi i z Bogami wrócić do ojca; ale cnotliwa nie odstąpiła mnie w przykrym razie, owszem, wszystko czyniła, aby mnie zachować. Zawdzięczając tedy jej starania, przyrzekłem powrócić ją ojcu i dałem słowo, że jej świętości na miejsce odeślę; żądałem tylko, iżby mi towarzyszyła do Wilna, gdziebym pokrzepiwszy zdrowie, mógł ją sam odwieźć do Polski.

Śmiać się z tej mowy zaczęło rycerstwo i różne Dowojnie czynić przymówki. Jedni utrzymywali, że mu się w chorobie rozum pomieszał; drudzy, że go branka urzekła. Zgiełk się powiększał, każdy chciał widzieć dziewicę, która tak nagle potrafiła zmienić przyrodzenie dzikiego rycerza.

Jagiełło pragnął równie ją ujrzeć; zbliżywszy się zatem do wozu, kazał jej podnieść zasłonę. Chociaż tak korzystnie zaleciły ją nam słowa Dowojny, nie trzeba jednak mniemać, żeby samą tylko pobożnością tchnęła. H e l e n a, to było imię branki, powstawszy, z wdziękiem uchyliła zasłony i ukazała najpiękniejsze oblicze. Oczy duże, błękitne, z czułością w niebo wzniesione, włos czarny, gęsty, szyja prześliczna, krzyż złoty na piersiach, postać wysoka, pełna wdzięcznej powagi, wszystkich uderzyły.

— Sława twej urodzie, przecudna Laszko! — zawołał zdziwiony Jagiełło. — Dzielnegoś nam rycerza zbawiła; ale pokaż nam twe Bogi, żebym się przekonał.

— Sława tobie i twemu ludowi — jeśli umiesz słabość niewiast szanować! — odpowiedziała słodkim głosem dziewica, wiodąc wzrok swój spokojny po tłumach. — Chcesz poznać chrześcijańskie świętości? dobrze, lecz wiedz wprzód, że w nich jest jednym zbawienie, drugim zguba.

I podniósłszy wieko, ukazała naczynia kościelne, złotem i drogiemi kamieniami błyszczące. Jagiełło w boju odważny, lecz z przyrodzenia nieufny i zabobonny, lękając się czarów, w mniemaniu, że to

są bóstwa szkodliwe, cofnął się z niedowierzaniem, spojrzał na Helenę i prosił, aby skrzynię zamknęła.

Różne z tego powodu powstały szemrania. Wojacy wzrokiem pożerali bogactwa, Jerbut radził skrzynię ogniem otoczyć, dowodząc, że złe duchy ulecą, a złoto złotem zostanie; inni utrzymywali, że naprzód tę psotnicę Laszkę uwięzić należy. Ale Jagiełło wprzód chciał wiedzieć, co Helena uczynić poradzi.

— Ma tu być w Wilnie — rzekła dziewica — wprowadzony niegdyś z Polski przez przodków moich zakon pobożnych ojców naszych, księży Franciszkanów. Jeśliś tak dobry, książę, dozwól, żeby te świętości u nich tymczasem były złożone.

— I owszem — odpowiedział książę. — Nic mieć nie chcemy do czynienia z Bogami waszemi. I krzyknął na służbę: — Zawołać mi zaraz tych czarnych mnichów i powiedzieć im: jeśli mi natychmiast nie zabiorą tej skrzyni i nie schowają dobrze, każę ich, jak za mego ojca Olgierda, na krzyż powbijać i puścić z wodą.

Pobiegł niezwłocznie do klasztoru posłaniec z rozkazem pana. Nizki wtenczas kościółek Ojców Franciszkanów, na piaskach, zakryty przed okiem prześladowców swoich gęstemi sosnami, opodal od miasta, nad obszerną sadzawką miał swe położenie. Dzwonek ich mały, ledwo w klasztorze słyszany, nie raził uszu Litwina, a krzyżyk, ledwo dojrzany na dachu, mało różnił Dom Boży od pospolitego mieszkania. Rzadko pobożni ojcowie wychodzili na świat, by żyjąc wśród nieprzyjaznego sobie narodu, żadnych z nim związków nie mieli, nie odprawiali odpustów, ani głosili kazań, bo Wilno w tej porze ledwo kilkudziesięciu i to ukrytych, chrześcijan liczyło. — Sami zaś przy postach i umartwieniach niewiele potrzebując, żyli z połowu ryb, uprawy ogrodu i cichej jałmużny, którą ich zasilali niekiedy chrześcijańscy mieszkańcy.

Struchleli zakonnicy na widok posłańca, z uszanowaniem przyjęli zalecenia książęce i ubrawszy się w szaty kościelne, niezwłocznie stanęli na placu Perkuna. Ukazanie się ich rzewną radością przejęło Helenę. Widziała w nich rodaków, widziała jawny dowód opieki Bożej nad wiarą, która, mimo prześladowania, śród dzikiego istnieje narodu. Ale Jagiełło wcale innem okiem patrzył na zakonników, a widząc w nich dwóch tylko niedołężnych starców:

— Cóż to — krzyknął z gniewem — te dwa dziady skurczone mają unieść skrzynię, pełną bóstw złotych? Kazałem, żeby cały klasztor tu stanął.

— Najmiłościwszy panie! — rzekł jeden z zakonników — całe nasze zgromadzenie z trzech się tylko składa; mamy jednak ufność w Bogu, że jakkolwiek nieliczni, potrafimy wypełnić pańskie rozkazy.

— Słuchajcie — rzekł książę — jeżeli mi tej sztuczki chrześcijańskiej zaraz nie weźmiecie i nie schowacie, i jeżeli z niej najmniejsza dla Litwina wyniknie przygoda, każę łożysko wasze słomą otoczyć i z dymem was puszczę.

Na tak zagrzewające wezwanie, dwaj starcocowie wszystko przyrzekli uczynić i skrzynię, chociaż tak ładowną, z dziwną łatwością wziąwszy na barki, obrócili z nią do klasztoru.

Tymczasem Helena, przypatrując się sprzeczności dwóch ubogich i skromnych chrześcijańskich kapłanów, obok tłumu ofiarników pogańskich, ze wstrętem poglądała na ich dzikie twarze i surową postawę. Nagle jej oczy łzami zachodzą i jak gdyby coś okropnego ujrzała, miesza się, blednie i bez zmysłów upada. Dowojna, księżna Olgierdowa i cały orszak przytomnych z nią niewiast rzuca się na jej ratunek, podnoszą ją, trzeźwią i o przyczynę słabości pytają.

— Nic to — wznosząc w niebo pełne łez oczy rzekła po chwili — to przywidzenie tylko.

I znów wiodąc okiem po zgromadzeniu kapłanów, chciała oddalić się. Coraz bardziej trwożąc się, niczego tak nie pragnęła, jak najprędzej ujrzeć się w klasztorze. Księżna, widząc ją osłabioną i bladą, chciała ją wziąć na zamek i Jagiełło był tego zdania, ale Helena nie przestawała powtarzać swej prośby.

— Cóż to? — rzekł obrażony Jagiełło — czy wam milsza mnichów, niż moja gościnność? Schowajcie te dąsy do Polski. Moja matka bierze was w swoje staranie; tak-że na nie chcecie zasłużyć? Jednaż branka będzie gardzić łaską księcia i pana Litwy?

Słowo „branka“ żywym rumieńcem twarz Heleny okryło. Znała ona dobrze moc swoją. Napojona od najpierwszej młodości słowami ksiąg świętych, bogobojna, śmiała, o religię żarliwa, a nadewszystko piękna, umiała tych korzyści używać na ujarzmienie najtęższych umysłów; łatwo więc podbiła serce Dowojny i równą śmiałością stawiła się Jagielle.

— Nic tobie do łez moich — rzekła wyniośle. — Jeżeli mnie uważasz jako niewolnicę, nie będę się opierać twej mocy! każ włożyć więzy na ręce, wiedź do zamku twego, pójdę bez oporu i śmiać się będę i z ciebie i z twojej dzikości; lecz jeśli we mnie widzisz nieszczęśliwą niewiastę, której chcesz dać schronienie, jeśli masz duszę litościwą, nie ten jest sposób ofiarowania przysługi. A jakkolwiek wielką byłaby twoja wspaniałość, córka Habdanka pewnieby jej nie przyjęła z rąk najezdnika, który krwią jej braci oblał ich ziemię, znieważył kościoły i pobrał im córki i żony!

Tak śmiałe stawienie się dziewicy i wzrok jej dumny, zamiast oburzenia, zdziwiły Jagiełłę. Przerażenie jej, które przypisywał walce Bogów chrześcijańskich z bóstwami Litwy, jeszcze go bardziej ostrożnym i niedowierzającym czyniło. Nigdy tak odważnej i mownej nie widział niewiasty. Patrzył na Helenę, jako na wyższą istotę, wspartą siłą nadprzyrodzoną, a nie chcąc doświadczać jej mocy, zostawił jej wolność udania się, gdzieby sobie życzyła.

Ale księżna Olgierdowa inaczej myślała. Znając niebezpieczeństwa, którychby młoda i piękna chrześcijanka nie łatwo ujść mogła w mieście, napełnionem różnego rodzaju żołnierstwem, tembardziej, że jest obwinioną o urzeknienie rycerza, nie przestawała ciągle wzywać jej na zamek. Łagodny jej sposób namowy i grzeczne oświadczenia Akseny skłoniły nakoniec Polkę do przyjęcia zaprosin. Weszła tedy na zamek pod opieką księżnej i znalazła w nim wygodne mieszkanie, usługę i wszystko, czem ją tylko pańska hojność obdarzyć mogła.

Wktótce książęta, bracia Jagiełły, rycerze i młodzież dworska, nęceni jej wdziękami, pomału zbliżać się do niej zaczęli; lecz pomni smutnego losu Dowojny i o dzielność swą dbali, zdaleka tylko wzrok swój urodą jej karmili. Postrzegała tę nieufność Helena, ale rażona smutnem widziadłem, które mocne na niej zrobiło wrażenie, więcej mogła modlić się i płakać, niż myśleć o zabawie i zwycięztwie swych wdzięków.

JASEŁKA W BRONOWICACH.



W Bronowicach, pięknej wsi pod Krakowem grane są od kilku lat Jasełka, mające już swoją sławę. W święta i niedziele od Bożego Narodzenia do Trzech Króli zbiera się do sali szkolnej lud okoliczny, państwo z pobliskich dworów i wiele osób z miasta. Wszyscy przypatrują się z zajęciem, jak starannie i pięknie Bronowiczanie czczą Dzieciątko Jezus i Pannę Najświętszą. Wszyscy grający to swoi, miejscowi; w Jasełkach biorą udział i najpoważniejsi gospodarze i młodzież i dzieci szkolne. Pracują nad tem sami, dopomaga im tylko kierownik szkoły miejscowej p. I. Flis z innymi nauczycielami, ucząc dzieci śpiewu chórem i malarz, p. W. Tetmajer, który rysuje ubrania dla grających i kieruje ich wykonaniem,

Przedstawiany jest pierwszy i trzeci akt wybornej sztuki teatralnej Lucyana Rydla z Toń, pod tytułem *Betleem Polskie*. W środku wstawione są różne dodatki własne, naprzemian pobożne i wesołe, poważne i ucieszne.

Na początku Jasełek widać, jak pasterze śpią. Jeden z nich spostrzega łunę na niebie, i słyszy śpiewy anielskie, zwiastujące narodzenie Chrystusa Pana. Budzi więc innych, którzy z początku nie wierzą, ale potem się przekonywują, zbierają się i idą złożyć hołd Dzieciątku Jezus, zabierając ubogie podarunki, co kto ma.

W części drugiej, ułożonej przez samych Bronowiczan, występują figury z szopki krakowskiej, potem przychodzą kolendnicy z gwiazdą, pięknie przyśpiewując, pojawia się nawet żyd z turoniem, tańczą krakowskie pary weselne i t. p. Wszystko ślicznie ubrane, ochocze, dobrze wyuczone.

Trzecia część przedstawia tron Matki Boskiej, przed który przychodzą wszystkie stany i postacie z historyi polskiej z hołdem dla Dzieciątka Jezus. Panna Najświętsza przyjmuje wszystko łaskawie a na końcu rzewnie wiernym dziękuje, przyrzekając swe orędownictwo do Synaczka. Tem błogosławieństwem, tak wzruszającem, że niejednemu łzy w oczach stają, kończy się to przedstawienie.

Powyżej podajemy obrazek, podług fotografii zrobionej umyślnie dla *Roli* na jednem z przedstawień. Przedstawia on zbiór tych co składali hołd. W głębi, pod ścianą widać młodziutką Matkę Boską w wielkiej koronie, siedzącą na tronie. Otacza ją gromadka pięknych dziewcząteк, niby małych aniołków. Obok na prawo pierwszy z Trzech Króli, Kazimierz Wielki, w wysokiej koronie, z czarną brodą, trzymający w rękach złoto. Obok widać Królowę Jadwigę, za nią w cieniu mało widoczny drugi z Trzech Królów, Władysław Jagiełło z kadzidłem, dalej król Jan III. Sobieski z myrrą w pudełku. Szkoda, że nie mógł zmieścić się na obrazku stojący obok Sobieskiego Bartosz Głowacki, którym był poważny naczelnik gminy Bronowice, p. Młodzianowski. Widać mu tylko rękę z kosą i kawałek sukmany.

W drugą stronę, na lewo od Panny Najświętszej, stoją szeregiem: anioł w białej sukni ze złotą opaską na długich włosach, obok Piast-kołodziej z kołem w ręku i powstaniec z roku 1863. Dalszych znowu nie widać, tylko rękaw ślicznego ułana polskiego z r. 1831; gdyby obrazek mógł być większy, byłoby tam widać i innych, co walczyli o wolność Polski: konfederata barskiego i legionistę z pod Dąbrowskiego.

W środku, przed Matką Boską, klęczą męczennicy za naród z najnowszych czasów: matka dzieci z Wrześni, które Prusacy bili za polski pacierz, obok, na prawo, Unita z Chełmszczyzny, prześladowany przez Moskala za wiarę katolicką. Na samym przedzie usiadły rzędem najmniejsze dzieci bronowickie.

Jak wyżej pisaliśmy, w przedstawieniu Jasełek dopomagał gospodarz bronowicki p. Włodzimierz Tetmajer, radca powiatowy. Jest on nietylko sławnym w całej Polsce malarzem, znany też jest jako wyborny pisarz, który napisał parę książek. Na prośbę redakcyi *Roli* napisał nam piękne zachęcenie do urządzania Jasełek, które tu na drugiej stronie drukujemy, pewni, że je każdy chętnie przeczyta.

„Chodźmy wszyscy do stajenki“.

Dobry to zakorzenił się już zwyczaj po wsiach, odgrywania w czasie świąt Bożego Narodzenia „Jasełek“.

Przedstawienia te mają cel dwojaki. Są pewnego rodzaju obrzędem religijnym, przypominającym tak ważną dla świata chrześcijańskiego chwilę, a przypominającym ją dostępnie i obrazowo, w bardzo polskim sposobie, wszystkim, a zwłaszcza dzieciom, które z zachwytem patrzą, a z wielkim przejęciem nieraz biorą w przedstawieniu udział.

Jest też to przedstawienie i rzeczą patryotyczną. Bo nigdzie w świecie, tak jak w Polsce, nie obchodzą ludzie Bożego Narodzenia. To święto jest u nas czysto polskiem.

Wszakżeż ci pasterze, co biegną do Betlejemskiej stajni, są to nasze kochane wiejskie pastuszki. Jeden z nich jest zwykle Maćkiem, inny Bartkiem, trzeci Jasiem, idą do stajenki takiej, jak wszystkie nasze polskie, i idą nie w żadnych ciepłych południowych krajach, ale w jasną, śnieżną, polską noc zimową. Dla tych pasterzy, tak, jak dla nas wszystkich, Chrystus Pan rodzi się w polskiej wsi.

I wszystkie te postacie, które przychodzą z pasterzami składać pokłon Nowonarodzonemu, to przecież sami Polacy. Idzie tam i dawny polski żołnierz i szlachcic Twardowski, idą Górale i Krakowiacy, idzie nawet żyd polski nieraz, choć nie wierzący w Messyasza.

Sama zaś Matka Boska, toć przecie właściwie nie inna, tylko ta, nam wszystkim znana Częstochowska Królowa, i ręczyć by można, że w głowie każdego Polaka, jeśli o Matce Bożej myśli, nie inny pozostaje obraz, tylko Matki Boskiej Częstochowskiej.

Są więc Jasełka, jakby zebraniem wszystkiego, co w dawnej Polsce było, co w dzisiejszej jest i żyje, i nawet tego, co nadal będzie.

Cóż zaś nadal będzie? Oto będzie ten lud pastuszy, ubogi dzisiaj jeszcze i jeszcze nie cały dość oświecony na to, aby właściwe sobie zajął w społeczeństwie stanowisko.

Jednak, ten lud, to odwieczna podwalina i stała, coraz się nam zbliżająca nadzieja lepszej przyszłości.

Już sama biblijna opowieść, w naszych kolendach tak pięknie i rzewnie opiewana, opowieść, w którą cała polska tak silnie wierzy, ta opowieść, że pierwsi to byli pasterze ubodzy, którzy wschodzącą gwiazdę nowej i lepszej przyszłości powitać „bieżeli skwapliwie“, — już sama ta opowieść najlepszem jest tego świadectwem.

Wszakżeż zrozumieć łatwo jej głębsze znaczenie. Ubodzy pasterze, którym tak cieszy się Jezus Maleńki, a którzy najpierwsi Doń biegną, to jest ten lud nasz polski, który czuje wschodzącą dla niego zorzę nowego życia i pilnie czuwa, aby tam przybył pierwszy, dokąd wszyscy biegną, to jest do światła, do źródła odwiecznego wszelkiej szczęśliwości, do jasnej gwiazdy przyszłości lepszej.

I biegnie ten lud, powiedzieć można śmiało, do swego polskiego Jezusa, takiego, jak sobie w swej polskiej duszy wyobraża.

To znaczy, że lud ten chce światła swojego własnego, nie pożyczanego od obcych narodów, ale chce światła i nauki i wiedzy i oświaty czysto polskiej, to jest takiej, jaka dla niego jest najwłaściwsza, jaka dlań najłatwiejsza i najpotrzebniejsza.

Głęboka to opowieść! głębokie jej znaczenie!

Nie tu miejsce, w tem krótkiem piśmie nad tem się rozwodzić, stwierdzić tylko trzeba, że właśnie to znaczenie mają u nas Jasełka.

Bo życie naszej Ojczyzny podobne jest bardzo do treści tej starej a cudnej legendy.

Nie tylko bowiem w dzień Bożego Narodzenia biegną wszystkie stany, fachy, i t. d. do światła, do tej ciągle upragnionej Betleemskiej gwiazdy wybawienia, ale całe nasze dzisiejsze dzieje, są właśnie jakoby pochodem wszystkich Polaków ku tej gwieździe. Tylko że w życiu, nie idą oni tak zgodnie, jak w owe czasy biegły w Betlejemie, jak dziś chodzą w Jasełkach.

Oby zrozumiano tę głęboką myśl, tkwiącą w starym, dziś wznawianym zwyczaju!

Oby tak ten ułan, szlachcic, mieszczanin, biegli za temi pasterzami za gwiazdą zbawienia, a biegli z miłością w sercu i dla siebie, a przedewszystkiem dla tych ubogich pasterzy!

Oby zrozumieli, że tym ubogim ułatwić, pomódz trzeba, przygarnąć ich do braterskiego serca, jako ich niegdyś, pomiędzy nimi urodzony Pan najwyższy i najlepszy do świętej piersi przycisnął.

Niechże Jasełka przypominają to ciągle polskiemu narodowi! Niechże go nieraz zwrócą z drogi złej, na którą go czasem wiodą i ludzie źle rzecz rozumiejący, i wpływy, wynikłe ze smutnego naszego położenia. W zgodzie i miłości:

„Chodźmy wszyscy do stajenki“.

Włodzimierz Tetmajer
z Bronowic.

W SKLEPIKU.

(Z legend o Panu Jezusie).

Bywało, że na poczet roboty zaczętej,
Nie otrzymał zadatku znikąd Józef Święty.
Trafiło się i nie raz — że Panienka Święta
W dniu wypłaty zarobku została bez centa,
I borgować w sklepiku wtedy było trzeba,
By dzieciątku nie brakło ni mleka, ni chleba.

A sklepikarz rzetelność znając Józefową,
Chętnie Matce Jezusa borgował na słowo.
I nawet się nie skrzywił, kiedy na borg brała,
Gotów dać i sklep cały — gdyby tego chciała.
Wiedział, że należytość za żywność pobraną
Z podzięką i w terminie będzie mu oddaną.

Raz, widząc Matkę z Synem w sklepie, zażartuje:
— „Cóż dacie za to, że Wam tak często bor-
[guję?“...
A Dziecię ukazując niebo, rzekło skromnie:
— „Zborguję też Ja tobie, gdy raz przyjdziesz
[do mnie;
A cośkolwiek ubogim wyświadczył dobrego,
Nie z chęci zysku, ale z serca litośnego,
Nawet to, gdybyś przeważył kiedy na swą szkodę,
Zaprawdę: tysiąckrotną odda ci nagrodę!“.

Jacek Obrochta.- Andr

POD LASEM.



Kupił sobie starowina w lesie trochę gałęzi, nakładł na wóz, zaprzągł trzy koniki i wiezie do domu, aby było przy czem ugotować strawę dla żony i dzieci. Ale niedość kupić, naładować i wieźć — trzeba jeszcze przed leśniczym, stojącym na skraju lasu, wykazać, że na wozie jest tyle, za ile zapłacono. Oddał więc starowina kwit gajowego, który go czyta, a sam bojaźliwem okiem śledzi rysy twarzy leśnika, czy też ten zauważy, że on, ot, tak „niechcący", wrzucił na wóz trochę więcej. — Tą samą obawą jest zapewne przejęty koń środkowy, bo z ciekawością ogląda się po za siebie. Koń po lewej ręce zwiesił łeb niejako ze wstydu, że jego pan, mimo siwego włosa na głowie, jeszcze czasem drzewa tu i ówdzie przykradnie. Tylko siwek stoi obojętny i marzy zapewne o tem, aby jaknajprędzej ruszyć do domu, do ciepłej stajenki, do smacznego owsa. — U nóg leśnika spoczywa piesek, który zapewne wolałby uganiać po polu za zwierzyną, niż patrzeć w jakieś głupie kwity, jak to czyni pan jego.

Świętokradztwo w Częstochowie.

Wszyscy pamiętają dobrze straszną boleść i oburzenie, jakie opanowało cały katolicki naród polski, gdy jakaś najnikczemniejsza ręka zdarła perłową sukienkę i wota z cudownego obrazu Najświętszej Panienki. Policya rosyjska wysilała się, aby odnaleźć zbrodniarzy, a czyniła to gorliwie, gdyż nawet prawosławni czczą tę wielką świętość. Wszystko było nadaremne, co kogo przychwycono. to okazało się, że niesłusznie. Aż teraz wreszcie natrafiono na ślad i tym razem może się uda odszukać piekielnych winowajców, a straty odzyskać. Rzecz tak się ma:

We wsi Kiedrzynie, o trzy kilometry pod Częstochową, gospodarz Józef Winiarek przyszedł w tamtą sobotę do Jana Tkacza, mieszkającego we wsi majstra i pokazał mu blachę, którą znalazł na polu. Chciał się od niego dowiedzieć, co ta blacha może być warta. Tkacz, obejrzawszy blachę powiedział, że to jest blacha miedziana i że można ją sprzedać na wagę. Gdy Winiarek poszedł do domu, żona Tkacza powiedziała mężowi, że to rzecz podejrzana z tą blachą i poszła poradzić się sąsiadów. Rada w rądę, wszyscy razem udali się do mieszkania Winiarka, by się od niego wywiedzieć, gdzie tę blachę znalazł. Winiarek tłómaczył się, że ją znalazł na polu, a gdy się dowiedział, że nie wiele warta, odniósł ją na to samo miejsce. Wtedy nakazano mu, by zaprowadził tam wszystkich.

Przy świetle łuczywa odnaleziono na polu blachę, a przy niej aksamit ze sukienki z Świętego Obrazu! Aksamit był podarty i w kilku kawałkach leżał na polu. Na jednym z kawałków leżały ziarnka łubinu — widać z tego, że aksamit ten schowany być musiał dawniej w stogu łubinowym.

Dano znać o tem odrazu do policyi. Strażnicy przyjechali do Kiedrzyna i otoczyli całą wieś, tak aby nikt nie mógł wyjść ani wejść. Wszystkie chaty zostały przeszukane. Obok stogu z łubinem znajdowała się niewielka sadzawka. Ponieważ myślano, że złodzieje mogli skradzione klejnoty rzucić do wody i tam je ukryć, wypompowano całą wodę z sadzawki, ale nie znaleziono w niej niczego. Do Kiedrzynia ściągnęła masa ludzi z wsi okolicznych a także i z Częstochowy. Dano znać o wypadku do miasta gubernialnego, Piotrkowa, skąd przyjechał sędzia śledczy. Na drugi dzień przyjechał także z Warszawy dyrektor policyjny i zaczęto na gwałt śledzić a szukać. Może, da Bóg, przecie znajdą!

Winiarek był kilka razy karany za kradzież. Skierowało się przeciw niemu podejrzenie, że brał udział w kradzieży klejnotów ze Świętego Obrazu. Aresztowano go o kilka innych jeszcze podejrzanych złodziejstw.

ZŁOTE MYŚLI.

Cnota jest klejnot nieoszacowany,
Bo ta ozdabia ubogie i pany.

Mikołaj Rej.

Czy chcemy, czy nie chcemy,
Czem kazał Bóg — będziemy.

Kornel Ujejski.

Czas odkrywa wszystko i każdemu miejsce właściwe wyznacza. *Ignacy Potocki.*

Z jednej i drugiej omyłki spostrzeżonej nie sądź o poczciwości człowieka, bo nie masz żadnego człowieka bez wady.

Tacyt, historyk rzymski.

SEJM.

We wtorek dnia 11 stycznia rozpoczęły się we Lwowie obrady Sejmu krajowego. Wydział krajowy i rząd przygotowali dużo wniosków, ważnych dla rolnictwa.

Między innemi, jak opowiadają sobie między posłami, miał rząd wystąpić z projektem utworzenia „Rady kultury krajowej“ na wzór czeski. Głównem zadaniem miało być rozdzielanie subwencyj, przyznanych rolnikom na hodowlę bydła, o czem pisaliśmy obszerniej w Nr. 1 *Roli*. Jak wiadomo, w Wiedniu stało się niedobrze i rząd centralny postanowił przeznaczyć osobne fundusze dla rolników polskich, osobne dla ruskich. Temi pieniędzmi musiał ktoś gospodarować, rozdzielać i rozsyłać, a to właśnie miała robić owa zamierzona „Rada kultury kraj.“

Aliści jeden z dzienników upatrzył sobie coś złego w takim projekcie i choć go nikt jeszcze nie czytał, rzucił się ten dziennik na namiestnika, twierdząc takie śmieszne a niegodziwe rzeczy, że namiestnik Polak, chce kraj zaprzedać Rusinom! Nie chcemy tu wymieniać tego dziennika, bo się pewnie redakcya sama zawstydzi swego brzydkiego kroku. Już mu mówią prawdę inne gazety, nawet jedna, zaprzyjaźniona z nim, bardzo poważna. Na razie niewiadomo zresztą jakto będzie z tą „Radą kultury“.

W Sejmie poświęcono dużo miejsca w obradach na sprawy rolnicze, jak się rzekło, zwłaszcza na melioracye. Na pierwszych posiedzeniach nie będzie Sejm o tem obradował. Najpierw musi być załatwiony budżet, ta najważniejsza sprawa w każdym Sejmie czy parlamencie.

Rusini, powiadając, że Polacy nibyto ich krzyczą, chcą przeszkadzać obradom i już rozpoczęli obstrukcyę zaraz pierwszego dnia, jak w jesieni. Ale im się to nie uda. Nasz Sejm ma regulamin dużo lepszy od wiedeńskiej Rady państwa i marszałek ma prawo prędko załatwić się z posłem, który przeszkadza porządnemu pracowaniu innych.

O oszczędności.

Do oszczędności zachęcało i zachęca wielu ludzi, a i każdy to z nas rozumie, że oszczędność jest rzeczą korzystną, ba nawet konieczną. Ale na słowa zachęty do oszczędności, każdy odpowiada: „Ja wiem o tem, że oszczędność jest dobrą, ale z czego tu oszczędzać, kiedy człowiek ledwo wyżyć może“. Inny z uśmiechem odpowiada, że oszczędność biednego ani jemu, ani nikomu nie pomoże. Mimo to jednak warto pomyśleć i pogadać o tej oszczędności. Ale to pamiętać należy, że chodzi o oszczędność, nie o brudne skąpstwo, o odmówienie samemu sobie zbytku, nie o sobkostwo, które innym nic nigdy dać nie chce.

Być może, że zaoszczędzenie pewnej drobnej kwoty nie przyniesie jednemu człowiekowi ogromnej korzyści, ale dla całego społeczeństwa jest to rzecz ogromnej wagi. A trzeba wiedzieć, że im ogół społeczeństwa zamożniejszy, to i jednostce żyjącej w nim lepiej musi się powodzić. Robotnik, wyrobnik, w zamożnej wsi zarobi lepiej, w czasie przednowku dostanie i krupek i mąki za darmo, a gdy przyjdzie konna robota w polu, to mu ten i ów parę zagonów zorze, nie patrząc pieniędzy. Jeżeli właściciel dworu zamożniejszy, to prędzej u niego uprosisz czy to furkę pościeli, czy podsuchów, czy co innego. Wogóle wśród zamożniejszego społeczeństwa i biedniejszej jednostce znośniej pędzić żywot.

Otóż o ten dobrobyt ogółu powinniśmy się starać wszyscy, każdy z osobna, jeżeli już nie o własny, a drogą do tego — oszczędność.

Na czemże oszczędzać? Weźmy naprzykład rzecz prawie nic nieznaczącą, np. zapałki. Co warta taka jedna jedyna zapałeczka, których kilkadziesiąt zą centa dostać można? Ileż my tych zapałek rocznie niepotrzebnie zniszczymy? Przypuśćmy, że dziennie każdy człowiek zniszczy jedną zapałkę bez potrzeby. Powiadam: przypuśćmy, bo jeden może zniszczy 10 zapałek, a inny ani jednej. Jakaż strata w kraju liczącym około 8 milionów, okaże się po roku? Zniszczonoby bez potrzeby 2 miliardy 920 milionów za jeden rok. Liczmy, że za helera można kupić 50 zapałek, jakąż stratę będziemy mieć po roku w pieniądzach? Nie wiele, bo tylko 584 tysięcy koron, czyli przeszło pół miliona koron za jeden rok. Coby to można zrobić dla kraju za pół miliona koron, gdyby nikt nigdy nie psuł nadaremnie zapałek?

Powiadasz, przyjacielu, że nie masz z czego oszczędzać, ale nawet najbiedniejszy, nawet dziecko małe, tygodniowo jednego biednego centa oszczędziłby zdołało? Ileżby to wyniosło na cały kraj za rok? Bagatelę, bo 8 milionów 320 tysięcy koron. co dałoby za 10 lat 83 miliony 200 tysięcy koron. Ładny grosz, nieprawdaż?

— A czyż my może nie oszczędzamy? — zapyta z wyrzutem niejeden.

Tak oszczędzamy, ale oszczędności nasze zabiera może jaki Mosiek lub Chaim. Wszak mamy w Galicyi 22 tysięcy karczem i szynków, czyli, że z naszych oszczędności utrzymujemy 22 tysiące rodzin, które nie sieją ani orzą, a żyją i to dobrze żyją. Policzmy dokładniej.

Koszt utrzymania jednej rodziny, nielicznej, wynosi najmniej 600 koron rocznie, jeżeli ta rodzina żyje skromnie. Koszt utrzymania 22000 rodzin karczmarzy wyniesie więc rocznie 13 milionów 200 tysięcy rocznie. Tylebyśmy na rok uskładali oszczędności w kieszeniach karczmarzy. Ba, ale któryż karczmarz żyje skromnie? Karczmarz to pan całą gębą. Kto dostanie w ręce karczmę, ten i żyje dobrze i do majątku dochodzi. O tem nie trzeba mówić, bo to każdy na wsi widzi i wie. Ileż my tam milionów naszych oszczędności schowali?!

O, masz, przyjacielu, z czego oszczędzać, ale nie umiesz i nie chcesz. Uzbierasz nieraz koronę i więcej, ale ją dusisz przy sobie dotąd, aż przyjdzie okazyjka i utonie w karczmie u Mośka. — A czyżby nie można temu zapobiedz?

Ludzie życzliwi nam, pozakładali w kraju setki kas oszczędności, inni pracują w nich bezinteresownie. Kasy te przyjmują i najdrobniejsze wkładki oszczędności, byleśmy je tylko dawali. Ale gdzieżby tobie się chciało iść z koroną do kasy? Tobie bliżej do Mośka, do karczmy, lub choćby do jakiego innego chrzczonego żydka; tam twa koronka utonie bezpowrotnie i bezprocentowo. — A przyjdzie choroba lub inna jaka czarna godzina, nie pójdziesz do kasy, aby ci twoją wkładkę oszczędności zwrócili, bo ta kasa Mośkowa, w której ją umieściłeś, nigdy wkładek nie zwraca. Narzekamy, że bieda, bo ono i prawda, że bieda jest, ale nie narzekamy na nikogo, bo biedzie naszej my tylko sami winniśmy! Dopóki nie nauczymy się oszczędzać choćby kwot najmniejszych, bieda nas nigdy nie opuści. A zatem do dzieła — do oszczędności!

Stanisław Madej z Zalesia.

Wzrok ofiary.

III. Na miejscu zbrodni.



W przedpokoju Rowera nic nie wskazywało na to, że za ścianą rozegrała się śmiertelna walka. Bernadet przechodząc, rzucił uważnem okiem na wiszące obrazy, kosztowną broń, szable i kindżały.

— W gabinecie — szepnął z cicha Monisz.

Drzwi stały otworem. Wszyscy trzej zatrzymali się na progu, aby ogarnąć wzrokiem pokój, w którym spoczywała ofiara. Mniej więcej na środku ujrzał Bernadet zwłoki, leżące na dywanie w kałuży krwi. Miękka materya wessała krew, która utworzyła dużą, czerwoną plamę.

Pierwszą myślą, jaka Bernardetowi przyszła do głowy, było:

— Dziwna rzecz! Morderstwo zaszło w biały dzień, o dwa kroki od ulicy, gdzie się kręci tysiące przechodniów i nikt nie słyszał wołania o pomoc, nie spostrzegł uciekającego oknem z drugiego piętra zbrodniarza.

I dodał głośno:

— Rzecz musiała się prędko skończyć.

Podszedł do trupa, ostrożnie, jak myśliwy, który się boi zatrzeć ślad ściganego zwierza. Wzrok jego przenosił się na przemiany od zwłok: na przedmioty, otaczające dywan. Wreszcie nachylił się nad trupem, aby zbadać jego położenie.

Rower wyglądał niemal jak żywy. Blada, piękna twarz jego miała w tej chwili wyraz groźny i rozkazujący niemal... Odrazu nasuwało się przypuszczenie, że ten chudy, stalowy człowiek, padł z przekleństwem na ustach, lecz mężnie patrząc śmierci w oczy.

Otwarta rana pochodziła od jakiegoś ostrego narzędzia, które zbrodniarz wepchnął w szyję. Krew otaczała brodę starannie goloną, szerokim, czerwonym kołnierzem.

Najbardziej jednak zwrócił uwagę ajenta policyjnego w z r o k z a m o r d o w a n e g o. Bernardet czuł się nim przykuty do miejsca i wzburzony zarazem.

Było to spojrzenie człowieka, który walcząc, przyzywa wzrokiem i słowami pomocy. Usta chciały krzyczeć, oczy groziły... rozwarte szeroko, jak gdyby chciały cisnąć błyskawicą na zbrodniarza, występując prawie z oprawy pod nastrzępionemi brwiami. Oczy te żyły jeszcze, opowiadały o strasznej walce. Zdawało się, że j e s z c z e w i d z ą m o r d e r c ę.

Bernardet obejrzał ręce. Obie były ściśnięte, jak gdyby jeszcze zaciskały się dokoła szyi mordercy w przeraźliwym ostatnim wysiłku.

— Za paznokciami krew — szepnął Bernadet. — Ofiara musiała się bronić.....

Dziennikarz zapisał szybko:

— „Za paznokciami krew“.

Bernardet obserwował dalej oczy, pełne strachu, martwe, szeroko rozwarte, które zdawały się przechowywać w głębi ostatki śmiertelnej trwogi, poczem dotknął się ręki trupa, która była zimną, ciało stężało.

Potem ajent wydobył z kieszeni zwiniętą wstążeczkę srebrnawej barwy i poprosił Monisza o potrzymanie jej. Następnie wydobył z pokrowca aparat fotograficzny i począł go przygotowywać do użytku.

— Przedewszystkiem — mruczał do siebie podczas tego — trzeba zrobić f o t o g r a f i ę o c z ó w z ich wyrazem. Zapuścić rolety! Niech będzie jak najciemniej!

Dziennikarz dopomógł Moniszowi. Zanim w pokoju zapanowała ciemność, nastawił Bernardet aparat, wynalazł najlepszy punkt do ustawienia się.

— Teraz zapalisz pan światło magnezyowe*), — szepnął do Monisza. — Czy masz pan zapałki?

— Nie, nie mam.

Ajent wskazał głową w kierunku kominka:

— Tam!

Jednem spojrzeniem objął Bernardet przy wejściu wszystkie przedmioty i sprzęty w pokoju: fotele stojące na swojem miejscu, prawie nie poruszone podczas śmiertelnej walki; kosztowne obrazy na ścianach, zwierciadła, szafę z książkami. Widział też na kominku zapałki.

Monisz przyniósł zapałki z kominka.



— Bez światła magnezyowego nic się nam nie uda — dodał Bernardet, tak spokojny w tej chwili, jak w domu, w ogródku, przy fotografowaniu córeczek. Gdy powiem „już“, wtedy pan zapalisz światło. Wystarczy go na kilka fotografij. Zrozumiałeś pan? Stań pan tutaj, po lewej ręce. Dobrze, czekaj pan teraz!

Bernardet zaczął manipulować koło aparatu fotograficznego. Monisz stał przy nim z zapałkami i magnezyą w ręku, jak artylerzysta, gotowy do strzału, oczekujący komendy.

— Już! — zawołał ajent.

Oślepiające białe światło zalało pokój. Blada twarz trupa zdawała się w niem jeszcze bledszą. Meble przybierały kształt fantastycznych potworów.

— Jeszcze raz — odezwał się Bernardet.

Trzykroć jeszcze okazało się w tych błyskawicach oblicze trupa, coraz bledsze, straszliwsze i coraz bardziej nieziemskim oblane spokojem. Rana wydawała się głębszą i szerzej otwierała swe brzegi; krew sprawiała wrażenie, że czerwienieje coraz silniej, a oczy wyłupione, martwe, tragiczue, groźne i grożące, oczy, które mówiły o nienawiści, obrzydzeniu, wstręcie i dzikim oporze, oczy te ożywiały się pozornie w fantastycznem świetle magne-

---

*) Magnezya jest to metal, który się bardzo jasno pali.

zyowem, ciskały błyskawice, jak gdyby chcąc zdruzgotać kogoś piorunem wściekłości.

— Teraz dosyć — mruknął Bernardet. — Chybaby sam dyabeł podstawił mi nogę, gdyby z tych trzech prób żadna nie udała się...

Przerwał, aby spojrzeć na zamknięte drzwi, które dostrzegł w rogu pokoju.

Drżały one pod silnem, rozkazującem pukaniem.

— To pewnie komisarz — przerwał milczenie Bernardet. — Otwórz pan, stróżu.



Do pokoju wszedł komisarz. Za nim tłoczyła się masa ciekawych, popychając się nawzajem łokciami i walcząc o każdy kawałeczek miejsca.

Przed wejściem komisarz oglądnął się, przeszukał okiem tłum i rzekł krótko:

— Proszę się cofnąć! Wszyscy mają się zatrzymać. Nikomu nie wolno wejść za mną!

Dwaj policyanci, którzy mu towarzyszyli, zajęli miejsce we drzwiach. Tłum zaczął szemrać i uskarżać się.

— A teraz — spytał komisarz, szukając wzrokiem Bernardeta — gdzież ten trup?

— Tutaj panie komisarzu!

Bernardet wyprostował się jak żołnierz przed swoim przełożonym, pełen uszanowania i uwagi. Komisarz podszedł do trupa. Również jak poprzednio Bernardet, zauważył dumny i wyniosły wyraz bladego oblicza.

— Biedny człowiek — westchnął, potrząsając głową. — A przytem wspaniały!

IV. Ofiara.



Desber przystąpił do zadośćuczynienia formalnościom urzędowym i przesłuchał stróża z żoną. Bernadet tymczasem przyglądał się wszystkiemu z bliska, jak pies gończy na tropie.

— Czem był ten pan? — spytał komisarz. — Chciałbym wiedzieć, z czego żył i kto go zwykle odwiedzał?

— Mało kto, mało kto, panie komisarzu — odpowiedział stróż. — Biedaczysko lubił samotność. Od ośmiu lat mieszkał w tym domu. Odwiedzali go przyjaciele, lecz było ich mało, bardzo niewielu.

Dalsze zeznania przyniosły jednak parę nowych szczegółów. Rower wynajął mieszkanie w r. 1894. Przybył z zagranicy, przywiózł ze sobą obrazy i książki. Było ich tyle, że stróż zwrócił na to uwagę. Przeprowadzka trwała też czas długi, a Rower sam czuwał nad rozmieszczeniem książek i urządzeniem biblioteki. Podawał się za kupca, który wycofał się z interesu. Raz wygadał się nawet, że był dawniej konsulem zagranicą, w Hiszpanii czy w Ameryce.

Żył bardzo skromnie, aczkolwiek — zdaniem stróża — był bogaty. Skąpym nie był w każdym razie, przeciwnie, bardzo hojnym. Unikał jednak oczu ludzkich i dlatego wybrał to odległe mieszkanie, aby wieść żywot cichy, samotny. Przed 3-ma czy 4-ma laty często przychodziła doń młoda kobieta, ubrana żałobnie, młoda, jak się wydawało. Rower odprowadzał ją zawsze z uszanowaniem aż do progu, gdy wychodziła. Raz czy dwa razy wyjechał z nią razem w powozie. Nikt nie wiedział, jak się nazywała.

Rower żył regularnie, jak żołnierz w koszarach. Trzymał się nawet prosto, po żołniersku. Dopiero ostatnie miesiące choroby przygarbiły go nieco. Codziennie bez względu na pogodę szedł na przechadzkę i wracał zawsze przed śniadaniem. Po śniadaniu zamykał się, czytał pisał, potem znów szedł na spacer, wieczory zaś spędzał zawsze w domu.

— Nie potrzebowaliśmy nigdy w nocy czekać na niego... nie chodził nawet do teatru — dodał na zakończenie stróż.

Poprzedniego lata nabawił się choroby. Sąsiedzi spostrzegli zaraz po jego powrocie, że z prosto chodzącego stał się zupełnie chorym człowiekiem. Od września nie wolno mu było wychodzić z pokoju. Nie przyjmował też nikogo z wyjątkiem lekarza, dni spędzał w fotelu albo na kanapie i czytał gazety sam, albo prosił żonę Monisza, aby czytała.

— Ale, ale — dodał Monisz. — Omyliłem się. Powiedziałem że Rower nie przyjmował nikogo, a tymczasem był tutaj ten obcy pan.

Monisz zatrzymał się i spojrzał na żonę. Komisarz dał znak, aby mówił dalej.

Monisz spojrzał na żonę, jak gdyby zasięgał jej rady. Pani Monisz potrząsnęła głową, dając mu znak milczenia.

W tej chwili podszedł Bernadet. Miał on słuch równie bystry jak wzrok. W tej chwili oglądał właśnie pokój, w którym Rower zwykle pracował. Cicho, niedosłyszalnie prawie podszedł do Monisza, stanął za nim i słuchał, przygryzając wargi.

— Jaki obcy pan? — pytał komisarz — O co idzie? — dodał nieco gwałtowniej, spostrzegając, że stróż i jego żona zwlekali z odpowiedzią.

— No — dodał jeszcze raz — cóż to wszystko znaczy?

— Tak... to jest... panie komisarzu... W gruncie rzeczy może to nie mieć żadnego znaczenia... a jednak... może i ma...

I opowiedział jak pewnego wieczora pytał się o Rowera jakiś elegancki pan, bardzo grzeczny, jak udał się na górę i długo tam przebywał. Mogło to być mniej więcej w połowie października. Gdy wyszedł od Rowera, zauważyła żona Monisza, która właśnie zapalała światło na schodach, że człowiek ten miał smutną minę, był blady i wyglądał jak zapłakany.

Później przychodził ów pan często do Rowera. Nieraz starała się stróżka dowiedzieć o jego nazwisku, lecz usiłowania jej były daremne.

Pewnego razu zapytała nawet wprost:

— Co was to obchodzi! — odpowiedział Rower niemal opryskliwym tonem.

Odtąd Moniszowa nie nastawała już, lecz zachowywała się względem tajemniczego gościa z wielką nieufnością.

— Instynkt, panie komisarzu, instynkt mówił mi... — opowiadała kobieta.

— Dosyć, dosyć, — przerwał komisarz — piękne bąki zaczęlibyśmy strzelać, gdybyśmy szli za instynktem!

— Ależ to nietylko instynkt mój, panie komisarzu...

— Lecz co więcej?

Bernadet patrzył bezustannie na stróżkę, nie spuszczał jej z oka. Nie tracił ani słowa z opowiadania, które przerywała od czasu do czasu, aby uzupełnić jakiś szczegół i przypomnieć sobie to lub owo. Chwilami rzucał okiem na trupa, który zdawał się słuchać z otwartemi ustami i szeroko rozwartemi oczyma.

Jak wiemy już, stróżka miała każdego czasu wolny wstęp do mieszkania Rowera. Była nietylko posługaczką zmarłego, lecz i czytała mu. Rower był gwałtownego, lecz poczciwego usposobienia. Jeżeli kiedy weszła niespodziewanie do pokoju, bądź z ciekawości, bądź też dla pilnej jakiej roboty, nie gniewał się nigdy, tylko mówił:

— Ach, to wy? Przecież was nie wołałem.

Mieszkanie stróża było połączone z mieszkaniem na górze zapomocą dzwonka elektrycznego; Moniszowa miała zawsze wymówkę:

— Zdawało mi się, że pan dzwonił.

Przy tej sposobności rozglądała się dokoła ciekawie i poprawiała ogień na kominku. Rower zajęty czytaniem, nigdy o tem nie myślał.

Moniszowa bardzo lubiła tego spokojnego człowieka. Nie byłaby mu nigdy pozwoliła siedzieć w zimnym pokoju i chociaż Rower w ostatnich czasach wyraźnie żądał, aby go pozostawiono w spokoju, umiała pod jakimś pozorem co chwila znaleść się na górze. Chciała być na każdy wypadek pod ręką, wiedząc, że Rower ciężko chory.



Wieczorem w przeddzień mordu, weszła do pokoju właśnie wtedy, gdy był tam ów młody pan. Zdziwiła się, widząc, że obaj wraz z gospodarzem stoją przy kasie ogniotrwałej. Rower, blady, wychudzony, ze śladami choroby na twarzy, trzymał w ręku jakieś papiery. Tamten drugi przyglądał się i patrząc chciwie, nachylał się nad niemi.

Moniszowa widziała to wszystko dobrze. Rower obrócił się nagle i zmarszczył brwi, chowając papiery do kasy. Wówczas wyszła, przepraszając, że przeszkadza.

Mimo to była w pokoju dość długo, aby spostrzedz, że w ciężkich drzwiach kasy tkwił cały pęk kluczy i że Rower, oglądając papiery powiązane sznurkami i popieczętowane był w bardzo złym humorze. Nie powiedział jednak ani słowa.

— A tamten drugi? — zapytał komisarz.

— Drugi był również blady, jak Rower. Był do niego bardzo podobny. Może krewny?

Moniszowa zauważyła chciwy wzrok, którym mierzył papiery i dziwny wyraz oczu jego, gdy patrzył na nią, stojącą w drzwiach. Wszystko to razem zmięszało ją bardzo. Gdy zeszła na dół, długi czas nie mogła mówić. Dopiero później potrafiła opowiedzieć dziwną, jak sądziła przygodę. — Młody człowiek spędził z Rowerem kilka jeszcze godzin. Chory leżał na kanapie. Moniszowa słyszała, jak rozmawiali ze sobą po cichu. Słów nie mogła pochwycić. Dopiero gdy obcy pan wychodził z pokoju, posłyszała głos Rowera, jak mówił:

— Powinienem był wszystko zaraz powiedzieć.

Całemu opowiadaniu stróżki towarzyszyły liczne westchnienia, trwożne miny, powątpiewanie... Bernadet słuchał i zapisywał sobie w pamięci każde słowo, każdy zwrot tej plotki, z której mógł z łatwością wydobyć materyał.

Próbował też odrazu dociec, ile było prawdy w gadaniu tej plotkarki, która radowała się z roli odgrywanej. W duchu zestawiał zeznania żony z dodatkami męża, który błagał ją ciągle o milczenie i kładąc jej ustawicznie rękę na ramieniu, wtrącał co chwila, gdy oskarżała już wprost nieznajomego:

— Poczekajmy, poczekajmy... nigdy nie można wiedzieć... Ten pan wyglądał tak przyzwoicie..

Ale Moniszowa rychło znalazła odpowiedź. Wskazała na zwłoki wyciągnięte na dywanie:

— Tak, tak, a czy pan Rower nie był także przyzwoitym człowiekiem? A przecież to nie przeszkadza mu teraz leżeć tutaj...

Bernadet uśmiechnął się ironicznie.

— I teraz również wygląda tak samo — rzekł — i sprawia wrażenie człowieka, występującego dzielnie przeciw łajdakowi. Jestem przekonany — dodał powoli — że g d y b y z t y c h o ś l e p ł y c h o c z u d a ł o s i ę w y c i ą g n ą ć t o, c o w o s t a t n i e j c h w i l i p r z e d ś m i e r c i ą u j r z a ł y, d o w i e d z i e l i b y ś m y s i ę w s z y s t k i e g o, o sprawcy zbrodni i o śmierci, jaką zginął.

— Może też mamy do czynienia z samobójstwem — dodał komisarz,

To jednak było wykluczone, jak natychmiast stwierdził Bernadet.

Rana była za głęboka, aby ją mogły zadać ręce samej ofiary. Gdzież się zresztą podziała broń, która ranę zadała? Przy trupie jej nie było. Morderca musiał unieść ją z sobą, albo też porzucić gdzie w mieszkaniu.

Nawet komisarz dał się przekonać.

— Tak, to jasne — dodał — mimo to musimy przystąpić do sporządzenia *visum repertum*.

Zauważył przytem, że Bernadet bardzo usilnie prosił, aby zwłoki dostawiono zaraz do trupiarni.

Widocznie Bernadet wpadł na jakiś koncept, myślał sobie komisarz.

— Biedny pan, biedny pan — jęczała stróżka — do trupiarni, on!

Bernadet uspokoił ją w krótkich słowach:

— Tak być musi! Tak chce ustawa. — Byle szybciej, panie komisarzu, byle prędzej. Im więcej czasu oszczędzimy, tem rychlej schwytamy zbrodniarza. (C. d. n.).

KRONIKA.

OD REDAKCYI.

Wszystkim, którzy nadesłali całoroczną prenumeratę na 1910 r. po dzień 7 stycznia, wysłaliśmy „Kalendarz Powszechny“ z numerem 2 *Roli;* tym zaś, którzy przesłali prenumeratę całoroczną do dnia 13 stycznia, wysyłamy „Kalendarz“ z dzisiejszym numerem.

Kto już się zgłosił poprzednio przed 15 stycznia, że chce prenumerować *Rolę*, a tylko czekał jeszcze na czek, niech wysyła **najdalej do 20 stycznia** pieniądze, a otrzyma Kalendarz z opłaconą przesyłką. Ktoby zwlekał dłużej z opłatą, będzie musiał pisać czek na 4 korony 30 halerzy, gdyż aż 30 halerzy kosztuje przesyłka tej ogromnej książki.

Nadto zawiadamiamy, że ci, którzy przeszlą prenumeratę całoroczną **po dniu 20 stycznia, ale przed 1-szym lutego,** będą mogli otrzymać „Kalendarz“ tylko w takim razie, gdy oprócz prenumeraty nadeślą czekiem **jeszcze 30 halerzy** na opłatę przesyłki „Kalendarza“.

Nadsyłającym prenumeratę po 1-szym lutego, „Kalendarza“ już wysyłać nie będziemy mogli, gdyż prenumeratorów codzień przybywa mnóstwo, a Kalendarza mamy już bardzo mały zapas, tak, że zaledwie wystarczyć nam może dla tych, którzy wcześniej się zgłaszają. Kto chce więc mieć jeszcze tak piękny podarek, jakim jest „Kalendarz Powszechny“, niech się nie namyśla, nie zwleka, tylko prenumeratę przysyła.

Za przesyłkę musimy liczyć po 30 halerzy, choćbyśmy nie chcieli, gdyż spotkała nas niespodzianka. Nasz „Kalendarz Powszechny“ jest książką ogromną, tak grubą i ciężką, że poczta nie ma prawa uważać go za dołącznik do gazety i każe osobno płacić 30 halerzy. Tym czytelnikom, co usłuchali naszego wezwania i zaraz prenumeratę nadesłali, albo przed 15 stycznia zgłosili się, prosząc o czeki, dotrzymujemy słowa i przesyłkę „Kalendarza sami opłacamy. Wszyscy inni sami niech sobie przypiszą, że muszą na przesyłkę dodawać po 30 halerzy. Ale i ci niech się śpieszą, bo może „Kalendarza“ dla nich braknąć.

Czeki na prenumeratę załączamy. Czek należy wypełnić i oddać na pocztę z pieniędzmi — opłacać nie potrzeba nic.

Dzisiejszy numer *Roli* powiększyliśmy, gdyż mieliśmy wiele ciekawych wiadomości, a nie chcieliśmy odkładać do przyszłego numeru. Tak będziemy zawsze postępować.

Zagadki do nagrody.

1. Szarada.

Pierwsze wstecz, wszyscy wiecie,
Chodzi tyłem po tym świecie;
Wielkie mnóstwo — drugie trzecie —
Z ziemi sypią samo trzecie.
Przez całość tańczą bez przestanku
Od wieczora do poranku.

2. Zagadka.

W jaki sposób biedny z jednego zrobi tysiąc?

* * *

Za dobre rozwiązanie przeznaczamy w nagrodę ładną książeczkę. Nagroda będzie losowana z pomiędzy tych, którzy rozwiązanie nadeślą. Nagrodę może otrzymać tylko prenumerator.

Termin nadsyłania rozwiązań do 23 stycznia 1910 r. Adres: Kraków, Rynek główny L. 8. Redakcya *Roli.*

Znaczenie zagadek z nru 1 *Roli:* Szarada — **krawiec,** zagadka — **siano.**

Trafne rozwiązania z nru 1 nadesłali PP.: Jan Bułka z M. (wierszem), L. Kosiński z M., Staszek Mycielski z G., Feliks C. z Ostrówka, Fr. Wąsowicz z G., Szczepan Senetra z Ż., Zofia Sielecka z K. Woli, Jan Stefański z G., Stanisław Uryga ze Ż., Jan Merta z B., Władysław Potempa z B. (Skądże nóż?), Franciszek Gwóźdź z P. L., Kazimierz Bielski z C., Józef Maślanka z R., J. Bieniek z R., Franciszek G. z M., Jan Kula z G., Stefania Witek z C., Michał Pietryka z B., Jan Chodacki z A., Jędrzej Malinowski z C., Jan Kruk z B., Marcin Kowalczyk z J., Joanna Baranówna z C., Sraub Jan z D., Józef Muciek z G., Stanisław Soboń z R., Jan Nuckowski z L., Jan Strug z L., Franciszek Potempa z Brzozowej, Michał Szymski z Dolnej wsi, Roman Osiniak z Kolbuszowej, Adela Bezokówna z Kamionki małej, Gorczyca Wojciech z Kaczorowej, Wojciech Bober z Humnisk, Urząd gminny w Wiśniowej, Jan Kühnbeck z II. kl. gimn. w Krakowie (zagadka źle), Mateusz Bieda z Bratkowiec (szarada źle), Franciszek Migdał z Sufczyna, Zwierzchność gminna w Ulanicy, Józef Krukurka z Kiełkowa, Czeladź plebańska z Nidku, Stanisław Dec z Kolbuszowej, Januszewska z Stróżowa, Ferdynand Kuraś w Tarnobrzegu, Jan Paluch w Żurowie Józef Witkowski w Niecieczy, Władysław Liptak z Białki.

P. Jędrzej Postrożny przesyła nam rozwiązanie szarady i zagadki w następującym wierszu:

Będąc sobie na gościnie w wieczór Sylwestrowy:
Gwarzym społem to i owo, co wpadnie do głowy.
Gdyśmy sobie nażyczyli nawzajem do syta,
— Hej, Jędrzeju! co nowego? — gospodarz mnie pyta —
Bom też widział dzisiaj w mieście, żeście z wójtem stali
I gazetę jakąś dużą od niegoście brali....
— Tak jest! prawda, więc słuchajcie, kiedy wasza wola,
To ją dzisiaj przeczytamy — to gazeta „*Rola*“ —
Więc czytałem ze zajęciem, a goście słuchali....
Ta gazeta jest najlepsza! tak wszyscy uznali.
— A kiedy ją tak chwalicie — mówię do nich śmiele —
To Wam będę „*Rolę*“ czytał na każdą niedzielę!...
Więc posyłam Redakcyi należną zapłatę.
Kocham „*Rolę*“, czytał będę innym na zachętę.

A że jestem miłośnikiem niemałym czytania,
Bym rozwiązał dwie zagadki dokładam starania.
Kra na wiosnę z wodą płynie i szumi doliną,
Kra najczęściej przy przeprawie nieszczęścia przyczyną.
Wiec się zbiera, by w nieszczęściu dodać ludziom rady.
Tych wyrazów domyślam się w dwóch wierszach szarady.
Gdy napiszę te wyrazy i przeczytam razem,
Będzie człowiek, który szyje, pracuje żelazem;
A więc **Krawiec** jest tym węzłem gordyjskim szarady!
Muszę za to książkę dostać — nie ma innej rady!

Co się tyczy „suchej trawy“ — po co pisać tyle,
Gdy pięć liter też wystarczy na pokarm kobyle.
Przymiotnika z rzeczownikiem pisać tu nie trzeba
Piszę: **siano,** to oznacza suchą trawę chyba?

Tom już skończył me zadanie pełen dobrych chęci —
Proszę Panów Redaktorów mieć mnie na pamięci!

Nagrodę za dobre rozwiązanie przy losowaniu otrzymał p. Stanisław Uryga w Ż. Jemu też przesłaliśmy nagrodę, oprawną książkę p. t. **Księga rzeczy polskich,** wartości 2 kor. 60 hal. z przesyłką 3 korony.

Oprócz tego, w podziękowaniu za piękne rozwiązanie zagadek wierszem, ofiarowaliśmy jako nadzwyczajny podarunek tę samą książkę p. Jędrzejowi Postrożnemu w S.

Rocznicę bitwy pod Grunwaldem postanowiła obchodzić uroczyście Rada miasta Krakowa i już uchwalono, co ma być. Będzie więc nabożeństwo w katedrze na Wawelu i w kościele Najświętszej Maryi Panny, wystawienie obrazu najsławniejszego malarza polskiego Matejki, z przedstawieniem bitwy, odsłonięcie pomnika króla Władysława - Jagiełły, podarowanego miastu przez sławnego muzyka Paderewskiego, dalej otwarcie nowego obrazu, tak zwanej panoramy grunwaldzkiej, pochód przez miasto, ćwiczenia gimnastyczne „Sokołów“ na Błoniach i tam dalej. Nie wiadomo tylko, czy się to uda zrobić? Rozsądni ludzie, między nimi znakomity pisarz Bolesław Prus, podnoszą głos i powiadają, czy kto wie, czy to dobrze drażnić potężnego Prusaka, który o taki obchód łatwo może się rozgniewać i przez zemstę zacząć wywłaszczać Polaków z ziemi, na której od tysiąca lat siedzą, pracują i Pana Boga chwalą. Gdyby to groziło naprawdę, to nie starczy skórka na wyprawę i lepiejby było poniechać obchodu. Byłoby to przykro, ale rozum każe znieść przykrość, jeśli się ma przez to uniknąć nieszczęścia dla narodu, a ciężkiej, bolesnej krzywdy dla braci rolników wielkopolskich.

Robotnicy polscy we Francyi. Znany pisarz i inżynier p. Libański, zamieszcza w jednej z gazet krakowskich szereg szczegółów o warunkach pracy robotników polskich we Francyi. Pojechawszy do nich przed miesiącem, objechał wiele folwarków i z wieloma robotnikami rozmawiał. Przyznają oni wprawdzie, że u Francuzów trzeba należycie pracować, ale też płacą dobrze i dbają o człowieka. Płaca dochodzi do 500 franków, mieszkanie dogodne, wikt taki sam, jak gospodarza (codzień mięso, wino, ser). Opinię polskim wychodźcom psują pokątni ajenci emigracyjni, którzy wysyłają do Francyi zbieraninę rozmaitych nicponiów. Dlatego każdy, kto chce porządnie pracować i porządnie zarobić, powinien nie wierzyć napastującym go na jarmarku lub w karczmie włóczącym się ajentom, ale napisać do uczciwego, sumiennego biura, jakiem jest w Krakowie Polskie Towarzystwo Emigracyjne, przy ul. Kolejowej l. 3. Tam mu dobrze poradzą i nie oszukają.

Wielkie śniegi w Galicyi wschodniej zasypały koleje na kilku liniach i ruch na nich wstrzymano. A w zachodniej części kraju i Królestwie, na polach czarno prawie wszędzie.

„Ziemianin“, zasłużone pismo rolnicze, wychodzące w Poznaniu bez przerwy od lat sześćdziesięciu, obchodzi w tym roku jubileusz, jakim tylko kilka pism polskich może się pochlubić. Jest to znakomita gazeta, poświęcona rolniczym sprawom, a pisana dla tych, co się gospodarstwa także z książek uczyli. W Wielkopolsce czytają ją także włościanie, gdyż oświata tam między ludem bardzo wysoko stoi. Gdy i u nas, w Galicyi oświata się podniesie, nasze pisma rolnicze będą miały dziesięć razy więcej czytelników, niż mają obecnie.

Czego już nie wolno pod Prusakiem? W Poznaniu grono pań postanowiło urządzić zabawę dla dzieci w wigilię Bożego Narodzenia. Ubrano pięknie salę, przygotowano podarunki, ale gdy przyszły dzieci, razem z niemi weszła policya i nie pozwoliła na odśpiewanie kolend. Tak to musi się święcić święta pod panowaniem pruskiem!

Zamordowany o siedm koron! We wsi pewnej pod Bydgoszczą w Wielkopolsce gospodyni posłała syna 13-letniego z 6 markami (7 koronami) do dworu po zapłatę. Chłopak wziął pieniądze, ale po drodze do domu napadł go jakiś zbrodniarz, zamordował i zrabował pieniądze. Strach pomyśleć, że są tacy ludzie na świecie.

Porwanie z kościoła. Młoda, siedemnastoletnia żydówka, uczenica gimnazyum w Wilnie, opuściwszy dom ojca, ukrywała się starannie w domu chrześcijańskim, w celu przyjęcia Sakramentu Chrztu św. Pewnej niedzieli w Adwencie, korzystając z mroków wczesnego poranka, podążyła do kościoła Bernardyńskiego, gdzie uczestniczyła na roratach. Ale tu spotkała się z zasadzką współwyznawców, żydów.

Dwóch żydów, wziąwszy do pomocy pięciu katolików (!) przybyło do Bernardynów. Żydzi (jeden z nich obwiązał sobie całą głowę i twarz chustką), oczekiwali wewnątrz kościoła tuż przy drzwiach wielkich. Wynajęci, ale nie wiedzący co czynią, katolicy, udali się na zwiady po kościele. Dopiero pod koniec nabożeństwa poznano biedną żydówkę.



Po krótkiej chwili rzucili się najemnicy na swoją ofiarę, obejmując ją pod ramiona tak, jak to zwykle się czyni w kościele z osobą omdlałą. Przerażona żydówka jęczeć tylko poczęła; wszyscy obecni myśleli, że w tłoku mdleje. Nim się spostrzegli, już napastniey byli koło drzwi wielkich i chcieli wyjść. Tu jednak przytomność młodej panience wróciła. Na jej krzyk i wołanie o ratunek nadbiegli strażnicy modlący się w kościele, służba i ciżba wiernych. Wywiązał się popłoch, ofiarę żydom odbito i zaprowadzono do zakrystyi. Żydów i przekupionych chrześcian poprowadzono do policyi dla spisania protokołu za gwałt popełniony w kościele. Jeden z żydów miał pod ręką kawał jakiejś ceraty, snadź dla owinięcia i spętania upolowanej ofiary.

Wyrodne córki. W Malborgu w Prusiech, w gnieździe krzyżackiem, które jest dziś dużem miasteczkiem, dwie córki w straszny sposób skatowały matkę. Pewnego dnia przyszła do 73-letniej staruszki córka jej, żona robotnika i domagała się pieniędzy. Matka odmówiła, ponieważ pieniędzy nie posiadała. Wówczas wyrodna córka poczęła się matce wygrażać, że się z nią coś stanie. Udała się też zaraz do swej siostry do pobliskiej wsi i tam gadziny te postanowiły matkę obrabować. Wzięły sobie do pomocy jakiegoś włóczęgę, któremu przyrzekły zapłatę i w trójkę udali się do mieszkania staruszki. Tam ją skrępowali i usta zatkali, a następnie przetrząsnęli całe mieszkanie za pieniądzmi. Znaleziono zaledwie 3 korony. Pozostawiwszy matkę skrępowaną, wyrodne córki odeszły. Sąsiedzi znaleźli jednak niebawem nieszczęśliwą staruszkę i wczas ją jeszcze z więzów uwolnili. Wyrodne córki przyaresztowano, włóczęga zaś otrzymawszy koronę za pomoc w zbrodni, ulotnił się bez śladu.

O otwarcie grobu. Kseni Paszko z Trościeńca umarło 7 dzieci, jedno po drugiem, Matka pod wpływem trapiących ją snów, że najmłodsze jej dziecko w grobie żyje, poszła na cmentarz i odkopała grób, ale znalazła dziecię nieżywe. Wskutek tego bezprawnego otwarcia grobu, dostała się biedna matka na ławę oskarżonych. Sąd przemyski uwolnił ją od kary, gdyż udowodniono, że działała w chwili zamieszania umysłu.

Nie zostawiajcie dzieci samych! W Piaskach pod Gnieznem wznieciły ogień dzieci, bawiące się zapałkami w mieszkaniu młynarza Łojewskiego; dzieci były bez dozoru, gdyż matka znajduje się w więzieniu za opilstwo, a ojciec wyszedł za pracą.



Dzieci zapaliły naftę w bańce, wskutek czego nastąpił silny wybuch, od którego szyby wypadły w oknach. Dwoje dzieci w wieku dwóch i trzech lat zaczęły palić się płomieniem, a zanim przybyła pomoc, już odniosły okropne poparzenia. Czemprędzej zawieziono je do szpitala, gdzie jedno zaraz umarło, a drugie nazajutrz.

O innym strasznym wypadku z naftą donoszą do *Roli* z Jajkowic pod Stryjem. Wczesnym rankiem w dzień Nowego Roku, żona Marcina Surmaka z Żydaczowa, Maryanna, wstała z łóżka i chciała mężowi i dzieciom warzyć śniadanie. Ciemno było, w lampie brakło nafty i zaczęła gasnąć. Surmakowa przyniosła bańkę, w której było pięć litrów nafty i zaczęła lać naftę do lampy. Od palącego się knota zapaliła się nafta, lampa pękła i w jednej chwili biedna kobieta stanęła cała w ogniu. Spaliło się na niej wszystko; nietylko ubranie ale i wszystkie włosy i skóra tak, że na całem ciele nie było ani kawałeczka zdrowego. Przez trzy dni walczyła ze śmiercią, przyszedł ksiądz z Panem Jezusem, a wreszcie nieszczęśliwa umarła, pozostawiając sześcioro dzieci.

Niebezpieczne pierniki. W Trzciance pod Poznaniem zmarło nagle dwoje dzieci robotnika Milbrandta po spożyciu malowanych pierników. Trzeba bardzo uważać z kupowaniem pierników po odpustach — i jarmarkach. Niesumienni kramarze umieją domieszać trującej farby, byle ich taniej towar kosztował.

Włościanka posiadaczką milionów. W mieście Jassach w Rumunii przy rewizyi domowej u włościanki nazwiskiem Gradinaru, znalazła policya kilka kufrów napełnionych złotem. Aresztowana oświadczyła, że kufry te przywiozła córka jej, zmarła przed rokiem, z Paryża, gdy wróciła ze służby u ksiecia Ghiki jeszcze przed 26 laty. Okazało się, że po śmierci księcia służąca jego zabrała kufry ze złotem, o które się nikt nie troszczył i przywiozła je do matki. Tak matka jak i córka przez 26 lat bały się ruszać złota, aby nie ściągnąć na siebie podejrzenia. Mimo to złoto przyniosło matce nieszczęście, bo ją aresztowano, a podczas przesłuchania mdlała kilkakrotnie. Wartość skarbu wynosi kilkanaście milionów franków.

Ziemia pochłonęła dom. W sobotę po Trzech Królach straszny a rzadki wydarzył się wypadek w miasteczku Raibl w Karyntyi, w górach Alpach. Duży dom bez piętra, w którym mieścił się szpital, zatrząsł się nagle w posadach, do góry wzbił się tuman pyłu, rozległ się trzask i cały budynek znikł we wnętrzu ziemi, jakby przez nią pochłonięty. W szpitalu znajdowało się siedm osób, lekarz, jego rodzina i służba. Wszyscy zginęli.

Powód tego nieszczęścia był taki: pod całem miastem znajduje się kopalnia. Górnicy wysadzili za duży kawał skały podziemnej dynamitem, utworzyła się w kopalni wielka jama, do niej zaczęła się obsuwać ziemia nad kopalnią, wreszcie fundamenty domów się zachwiały, a że szpital stał na miejscu największego obsuwania się ziemi, gdy utworzyła się nagle w skorupie ziemnej rozpadlina długa na kilkadziesiąt, a szeroka na kilkanaście metrów, dom wpadł do środka jamy i przygrzebał ruinami mieszkańców.

Jak się żydzi żenią. Przed kilku dniami w szynku żydowskim w Warszawie miało się odbyć wesele młodej żydówki z młodym żydem z Pragi. W nocy, gdy wszyscy goście byli już na sali, a panna młoda zabawiała się z koleżankami i oczekiwano już przybycia pana młodego — dowiedziano się, że ten się ulotnił, niewiadomo dokąd, bo żenić mu się odechciało. Na weselu jednak był obecny „swat" czyli faktor, który na poczekaniu sprowadził innego młodego żydka i panna młoda bez wahania z nim ślub wzięła. Wielu gości na razie nawet nie wiedziało o tej zamianie.

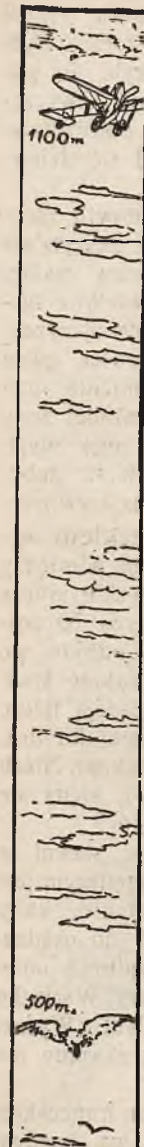
Ostrożnie w wagonach kolejowych! Nieszczęśliwy wypadek zdarzył się w niedzielę ubiegłą w Niżankowicach, stacyi między Przemyślem a Chyrowem. Paulina Predasz, pochodząca z Fredropola, od kilku już lat służyła w Przemyślu. W niedzielę rano wybrała się do domu, by choć jeden dzień spędzić w rodzinie. Matkę uwiadomiła przedtem o przyjeździe swoim, by wysłała po nią wózek na stacyę do Niżankowic, dokąd miała dojechać koleją. Tak się też stało. Predaszówna wsiadła w Przemyślu do pociągu, zdążającego do Niżankowic i zaraz na wstępie spotkała swoją znajomą z Przemyśla, z którą się już dłuższy czas nie widziała, a która jechała do Dobromila, w tę samą stronę. Ucieszona, że znalazła towarzyszkę podróży, wdała się z nią w pogawędkę i wkrótce tak się obie zagadały, że zupełnie nie zwracały uwagi na to, co się koło nich dzieje.



Pociąg właśnie wyruszał z jakiejś stacyi, gdy Predaszówna, przypadkowo przez okno wyglądnąwszy, z przerażeniem spostrzegła, iż to są już Niżankowice. Zlękła się, że ją pociąg daleko zawiezie i nie namyślając się wiele, przypadła gwałtownie do drzwi wagonu, otwarła je i wyskoczyła na peron.

Skutki skoku były fatalne, gdyż Predaszówna, wyrzucona pędem pociągu, upadła tak nieszczęśliwie: że głową uderzyła o sąsiednią szynę. Zawezwany lekarz powiedział, że ma rozbitą całkiem głowę i że wkrótce umrze, co się też stało.

Pożar pałacu królewskiego. Pałac królewski w Atenach w Grecyi w większej części spłonął prawie do szczętu. Król po pożarze ze wzruszenia zemdlał kilka razy.



Najwyższy wzlot w powietrze. Francuz Latham dobrze się nazywa, bo śmiało może powiedzieć ludziom: „Patrzcie, jak ja Latham, dobrze latam“. Jest to młody, dwudziestokilkoletni człowiek, który na aeroplanach, czyli latawcowych maszynach, zawsze był jednym z pierwszych i najśmielszych. On to' pierwszy przelatywał przez morze, dzielące Francyę od Anglii i już prawie był u drugiego brzegu, ale coś mu się popsuło w maszynie i spadł do wody. Potem na każdym popisie latawców zawsze brał nagrodę; inni latali czasem od niego dłużej albo prędzej, ale on zawsze najwyżej. Do tego musi nie braknąć człowiekowi ogromnej śmiałości, bo nie trzeba tłumaczyć, że im kto z wyższa spadnie, tem się mocniej rozbije.

To też ci, co się dopiero uczą latać, nie puszczają się nigdy wyżej nad dwa lub trzy metry od ziemi. Oprócz tego, wznoszenie się w górę jest trudne. Nie można lecieć wprost ku niebu, jak balon, który nie leci sam, tylko go powietrze ciągnie, jako że jest lżejszy od powietrza. Latawiec zaś, czyli z francuska mówiąc aeroplan, musi zataczać ciągłe koła i skrętami, zakosami, ciągle jechać w górę. Przy każdym takim zawrocie może wiatr uderzyć, maszyna się na bok przechylić, a wtedy żeglarz powietrzny runie o ziemię i po nim!

Latham zawsze znany był jako najzuchwalszy i zarazem najspokojniejszy w powietrzu. Ale to, co zrobił w piątek po Trzech Królach, przeszło wszystko inne. W przeciągu godziny, lecąc akurat tak prędko jak pociąg pospieszny, wydostał się na 1100 metrów w górę, więcej niż kilometr i potem tak samo na dół się spuszczając, wrócił w takim samym strasznym pędzie. Że to jest prawdą, przekonali się inżynierowie, którzy z dołu lunetami i innymi instrumentami mierzyli wysokość; oprócz tego miał on na swoim latawcu przyrząd, który zapisywał, w jakiej jest wysokości.

Aby sobie wyobrazić, co to znaczy 1100 metrów, podajemy tu rysunek przedstawiający rysunek jego wzlotu tak, jakgdyby wznosił się w górę nie pod Paryżem, ale nad naszym znanym wszystkim Polakom, ukochanym Wawelem, z Zamkiem królewskim i Katedrą.

Cały Wawel, góra z Katedrą i Zamkiem królewskim, ma od Wisły licząc do szczytu wieży najwyższej 90 metrów. Największe orły, jak to przekonali się uczeni, wznoszą się do 500 metrów. Latham wyleciał w powietrze tak wysoko, że miał pod sobą kilka pokładów chmur i nic nie widział, tylko białą mgłę pod sobą jak wielkie morze. Wzniósł się jedenaście razy wyżej, niż wynosi wysokość Wawelu, albo wieży kościoła N. Panny Maryi w Krakowie. Na obrazku zaznaczone to jest tak, że każdy może sam wysokość wymierzyć.

Rzym jako port morski. Miasto we Włoszech, Rzym, siedziba Papieża, chociaż leży kilkanaście mil od morza, ma być zamienione na port morski przez wykopanie wielkich kanałów. Roboty zaczną się na przyszły rok i kiedyś do samego miasta będzie można dojechać okrętami.

Śmierć z latawca. W mieście francuskiem Bordo, sławnem z handlu winem, odbywały się po Nowym Roku wyścigi latawców. Zebrało się dużo najsławniejszych i ubiegali się o nagrody. Między nimi był i trzydziestoletni, bogaty i śmiały Delagranż. Przez dłuższy czas popisywał się trudnymi zwrotami w powietrzu, pomimo silnego wiatru, aż przyszło nieszczęście.



W chwili gdy Delagranż po raz ósmy skręcał przed tak zwanemi trybunami, to jest szopami otwartemi, w których siedzi publiczność, coś się nagle zepsuło w maszynie, jedno skrzydło latawca zgięło się, ludzie na ziemi usłyszeli trzask i latawiec runął na ziemię z wysokości 20 metrów. Czemprędzej najbliżsi pospieszyli do strzaskanej maszyny i chcieli ratować człowieka. Ale wydobyli już trupa: nieszczęśliwy miał złamaną czaszkę, kręgosłup, trzy żebra i obojczyk.

Tych co swoje siły i naukę oddają próbom latania, trzeba szanować jako ludzi zasłużonych dla przyszłych pokoleń. Oni to z narażeniem życia robią latawce coraz lepszymi i chcą doprowadzić do takiej doskonałości, aby wszyscy ludzie mogli latać kiedyś po powietrzu, tak jak jeżdżą dziś po ziemi kolejami i samochodami, a parowcami po wodzie. Ci, co giną przy tych próbach, są ofiarami swoich doświadczeń, pożytecznych dla ludzkości. Tem większa ich szkoda, że wszyscy są ludźmi młodymi, dzielnymi, a przytem bardzo bogatymi. Trzeba bowiem wiedzieć, że latanie po powietrzu to rzecz dziś jeszcze kosztowna, na którą mogą sobie pozwolić tylko ludzie bardzo zamożni, a dochody z latania są prawie żadne w porównaniu z kosztami.

Masoni włoscy, zawzięci wrogowie Kościoła św. i Stolicy Apostolskiej, poczynają coraz bardziej dokazywać. Zmarły w r. 1906 arcybiskup Adami zapisał Ojcu św. testamentem cztery miliony lirów (Koron). Krewni nieboszczyka zaczepili testament, dowodząc, że zmarły był zdziecinniały i stąd nie wiedział co czyni. Pieniądze powinny były zatem ich zdaniem przypaść im w udziale. Sędzia - mason w miasteczku Lanciano apelacyę przyjął i zawezwał Ojca św., ażeby celem złożenia świadectwa stawił się osobiście na sądzie w przeciągu dwóch miesięcy. Widać że chodzi o to, ażeby miliony Stolicy św. się nie dostały, boć przecie każdy wie, że Ojciec św. Watykanu opuścić nie może.

Rocznica trzęsienia ziemi w Messynie i Kalabryi. Dnia 29 grudnia 1909 minął rok od strasznego

trzęsienia ziemi, jakie nawiedziło Messynę i Kalabryę nad morzem Śródziemnem, o czem pisaliśmy zeszłego roku i przedstawiali na obrazkach. W samej Messynie jak urzędowo stwierdzono, zginęło wtedy **82.000** ludzi.

Rocznicę tej ogromnej katastrofy obchodzono w całych Włoszech z ogromnym smutkiem. Ojciec św. odprawił Mszę św. za ofiary tej klęski. Przez cały dzień młodzierz szkolna zbierała datki na pozostałe sieroty. W dniu rocznicy poświęcono w Messynie nowy kościół, w którym będą odprawiane po wieczne czasy Msze św. za ofiary katastrofy. Dużo już zrobiono, aby zapobiedz nędzy po trzęsieniu ziemi, ale jeszcze Messyna, Reggio i okoliczne miejscowości potrzebują koniecznej pomocy.



Ponieważ jest to okolica często nawiedzana trzęsieniem ziemi, inżynierowie doradzili budować Messynę na nowo tak, aby najmniejsze niebezpieczeństwo zawalenia nie groziło mieszkańcom. Dlatego całe miasto nie będzie miało domów piętrowych, ani murowanych, tylko drewniane, nie opierające się o siebie, każde z osobna stojące. Ponieważ zimy tam niema i ciepło jest przez cały rok, domki są na wpół otwarte, jak te altany, które widzieć można u nas po ogrodach dworskich. Jedną ulicę, złożoną z takich domków, przedstawia nasz rysunek.

Banda fałszerzy pieniędzy. W Londynie, stolicy Anglii, aresztowano dwóch młodych ludzi, nazwiskiem Peter i Albrecht, którzy posiadali fałszywe austryackie pieniądze papierowe. Przy przesłuchaniu okazało się, że są to członkowie całej bandy fałszerzy rozrzuconej po Węgrzech, która główną władzę posiada w Paryżu. Przełożonym tej bandy jest dr. Soltan Tokacs, mieszkający w Paryżu. Tokacs przez swoją matkę, mieszkającą w Budapeszcie porozumiał się z Peterem. Ten wyjechał do Paryża i tam poznał się z Albrechtem, z którym we trójkę zaczęli fałszować pieniądze i przesyłać je kochance Albrechta do Budapesztu celem wymiany. Interes szedł dobrze, póki dwaj przyjaciele, Albrecht i Peter, nie pokłócili się. Skutkiem tej kłótni zostali aresztowani i osadzeni w więzieniu. Za innymi członkami bandy policya śledzi gorliwie. Zbrodniarze zawsze się pokłócą. Tylko uczciwi ludzie wyżyją ze sobą zgodnie.

Zięć własnej siostry. Pewien Niemiec z okolicy Renu, z profesyi czeladnik masarski, nie mający roboty w kraju, wyemigrował przed laty do Ameryki. Tutaj pracując bez wytchnienia i spekulując na różne sposoby, zebrał majątek. Wraz ze zamożnością rosły jednak także lata. Pewnego razu przedsiębiorczy masarz, któremu nie wiele już brakowało do sześćdziesiątki, zadumał się smutno, bo nie miał spadkobiercy, któremuby zostawił swoje mienie. Sprzedał więc cały majątek i wybrał się do Europy na poszukiwanie krewnych, o których od czasu, jak opuścił ojczyznę, nie miał żadnej wieści.

Po drodze, przybywszy do Nowego Jorku, poznał tam biedną młodą dziewczynę, bardzo przystojną. Była to Niemka, która również przybyła do Ameryki dla poprawy swej doli. Postanowił z nią się ożenić. Zwyczajem amerykańskim, bez długich ceregieli, podstarzały, ale jeszcze do rzeczy kapitalista, oświadczył się dziewczynie i został przez nią przyjęty.

Wzięli zaraz ślub, a po ślubie postanowili zaraz wyjechać do Europy, z czego młoda kobieta cieszyła się bardzo, bo, jak mówiła, ma nad Renem starą matkę, którą bardzo kocha, a która teraz żyje w wielkiej biedzie. Po kilku tygodniach przybyli wreszcie do ojczyzny. Pojechali zaraz nad Ren, do owej miejscowości, gdzie mieszkała ich stara matka. Jakież było zdumienie amerykańskiego kapitalisty, gdy w matce swej młodej żony poznał własną siostrę, która jeszcze przed jego wyjazdem do Ameryki wyszła była za mąż, a teraz zubożawszy, żyła w niedostatku, zapomniana przez krewnych.

Krwawy bunt w wojsku niemieckiem wybuchł w fortach Werder pod Strassburgiem pomiędzy 6 a 7 kompanią 136 pułku. Gazety niemieckie milczą jednak o tem uparcie. W bitwie uczestniczyło 70 żołnierzy, z których jednego zabito. Bitwa odbyła się w nocy, a nad ranem znaleziono wielkie kałuże krwi. O co poszło , dokładnie niewiadomo. Powiadają tylko, że powodem była nienawiść jednej kompanii ku drugiej i nienawiść ta skończyła się rozlewem krwi. Niech sobie Prusacy upuszczają po troszce krwi, kiedy się chcą zabijać, może nam prędzej dadzą spokój?

Prędki sędzia. Angielscy sędziowie sławni są z tego, że sądzą prędko i dobrze. Ale najprędszym jest chyba sędzia obwodu Mostowego w Londynie. który w pierwszy dzień Bożego Narodzenia miał do osądzenia 69 spraw o pijaństwo i bójki. 10 podsądnych uniewinnił, 59 skazał na mniejsze lub większe kary. Wszystko razem, 69 wyroków, wydał w 60 minut! Wyroki musiały być sprawiedliwe, skoro ani jeden skazany nie wniósł rekursu.

Obrazki na wagonach. Na kolejach francuskich wprowadzają obecnie nowość, mianowicie na każdym wagonie osobowym będzie namalowany inny obrazek, w celu odróżnienia tego wagonu od innych. Każdy, kto choć trochę podróżował, wie, jak trudno jest przy wysiadaniu na stacyach trafić napowrót do swojego przedziału. Ażeby temu zapobiedz, postanowiono oznaczanie każdego wagonu zapomocą jakiegoś wyraźnego, zdala widocznego, malowidła. Na kilku liniach wagony takie już kursują, Obrazek, wagonowy zwykle przedstawia jakieś zwierzę, np. psa, kota, kury i t. p., albo przedmiot codziennego użytku, lub kwiat. Wszystko malowane jest ciamną farbą na białej tablicy i widać to nawet w nocy bardzo wyraźnie.

Wielki kometa, duża gwiazda z jarzącym się ogonem, zbliża się przez przestworza niebieskie ku kuli ziemskiej. Od początku kwietnia do połowy maja będzie kometa widoczny i u nas. W pogodną noc ujrzy go każdy gołem okiem, bez lunety, razem z promieniejącym ogonem. Gdy się pojawi, a uczeni astronomowie go sfotografują, damy w *Roli* jego obrazek.

Czytelnicy! Rozszerzajcie „Rolę“ wśród Przyjaciół! Piszcie komu wysyłać numery na okaz!

Wielki proces. We środę dn. 12 stycznia b. r. rozpoczął się w Krakowie przed sądem przysięgłych proces przeciw Janinie Borowskiej oskarżonej o zamordowanie adwokata Dr. Lewickiego w czerwcu ubiegłego roku. Przewodniczący sądu spodziewał się, że na rozprawę przybędzie dużo niepotrzebnych słuchaczów, więc postanowił w poniedziałek rozdać bilety wstępu. Po bilety naszło tyle ludu, szczególniej żydówek, że mało kto bilet otrzymał — za to żydówki pogubiły kapelusze, kolczyki i t. p. rzeczy, a nawet w ścisku kilka z nich zemdlało. O samem morderstwie pisaliśmy zeszłego roku, o wyniku procesu napiszemy.

Rabusie na polowaniu. Dwojakie było polowanie niedawno w wielkich lasach pod Florencyą we Włoszech. Bogaty dziedzic Marini wybrał się na polowanie i zasiadł na stanowisku, a miał przy sobie lokaja, który mu nabijał strzelbę. Niespodziewanie zaczęło się drugie polowanie, ale zwierzyną był on sam.



Oto nagle z za krzaków wyskoczyło kilku ludzi w czarnych płóciennych maskach na twarzy, związali mu ręce i posadzili na pniaku. Zaczęli się targować, a gdy się porozumieli ile napadnięty ma zapłacić, lokaj pojechał do dworu po pieniądze. Dopiero nasypawszy kieszenie pieniądzmi, rabusie wypuścili jeńca i uciekli w krzaki. Obrazek przedstawia chwilę, w której lokaj wypłaca przewódcy bandy pieniądze, jako okup przywieziony ze dworu.

Nowy kapitan z Köpeniku. Pamiętamy wszyscy dobrze, jakto przed paru laty biedny szewc berliński, przebrawszy się w mundur kapitana, polecił spotkanemu oddziałowi wojska iść ze sobą do kancelaryi gminnej w miasteczku Köpenik, gdzie polecił burmistrzowi, aby mu wydał pieniądze gminne, a w dodatku jeszcze burmistrza aresztował. Podobny wypadek wydarzył się obecnie w Hesyi, w miejscowości Geinsheim. Do kasyera gminnego przyszedł jakiś 25-letni mężczyzna i oświadczył, że musi zrewidować książki kasowe. Kasyer przedłożył książki i wyliczył gotówkę. Pan ów zbadał książki, które znalazł w porządku, a pieniądze schował do kieszeni i pojechał. Biedny kasyer po kilku dniach dowiedział się, że władza nikogo na rewizyę nie przysłała, a ów panek to był zwykły oszust. Wobec tego kasyer szkodę, wynoszącą 500 marek pruskich (600 koron) będzie musiał pokryć z własnej kieszeni. Jak to w urzędzie zawsze trzeba być ostrożnym!

Złodziej w pułapce. W Waszyngtonie w Ameryce, dom bogatego obywatela Dawisa chciał obrabować złodziej. W tym celu, aby dostać się do mieszkania, wlazł do komina, ale tam uwiązgł tak, że mimo szamotania nie mógł się ruszyć ani wprzód ani wtył. Wskutek hałasu właściciel się obudził, zawołał policyę, z którą razem poczęto rozbierać komin, by złodzieja wyciągnąć, ale daremnie. Dopiero, gdy przyszli murarze i cały komin rozebrali, wyciągnęli nawpół żywego złodzieja. Z komina poszedł złodziej do kozy.

Ile warte życie ludzkie? Bogacze amerykańscy cenią swoje życie bardzo wysoko. Ostatnimi czasy zaczęli się ubezpieczać na wypadek śmierci w rozmaitych towarzystwach wprost na ogromne sumy. Jeden fabrykant cementu, Nicholson, ubezpieczył swoje życie na 10 milionów. A już może najwyżej ceni swoje życie bogacz z Filadelfii, nazwiskiem Wanamaker, który ubezpieczył się na 16 milionów. Gdyby tak umarł, tyle musiałyby wypłacić jego dzieciom Towarzystwa ubezpieczeń.

Chińczycy bez warkoczów. Każdy Chińczyk nosi, jak wiadomo, warkocz. Ale gdy jest u nas w Europie, wstydzi się go i chowa za kołnierz pod koszulę, lecz nie obcina. Tak było dotychczas. Teraz rząd chiński reformuje państwo na sposób cara Piotra W. Ten ostatni zaczął niegdyś reformę Rosyi przez obcięcie brody Moskalom; rząd chiński zaś nakazał swym poddanym obciąć warkocze. Najpierw zreformuje się w ten sposób wojsko, potem młodzież, potem policyę i t. d. Wśród Chińczyków panuje rozpacz, warkocz jest dla nich świętością, znakiem patryotyzmu i wielkości państwa chińskiego. Ale rząd chiński jest nieubłaganym i przeprowadzić chce swą reformę.

Nowy Rok w Ameryce obchodzony jest zawsze na wesoło. Każdy jest dobrej myśli i cieszy się, że będzie mu lepiej niż w roku starym. Ludzie weselą się i urządzają widowiska po ulicach, jeżdżą poprzebierani po mieście, na wsi hulają i tańczą. W niektórych miastach jest zwyczaj, że dziwacznie ubrany człowiek obchodzi ulice, zapowiada, że nowy rok się zaczął i zwąc go królem, siebie mianuje jego najwyższym sługą. W Nowym Jorku tego roku chodził po ulicach taki człowiek przebrany za olbrzymiego lokaja i śmieszył ludzi. Czasem niejeden aż się spłakał ze śmiechu, szczególnie młodsi. Pod spodniami miał szczudła tak wysokie, że głową sięgał drugiego piętra domów. Za nim chodził zawsze tłum ludzi, ale niebardzo się zbliżał. Olbrzym miał w ręku długą lagę z gałką, wykręcał nią, a czasem i szturknął, gdy się kto zanadto zbliżył. Ludzie zamożni i zdrowi umią się bawić!



ODPOWIEDZI REDAKCYI.

PP.: Marcin Kowalczyk w J., Jan Kruk w B., Filip Kober w H. Jan Chodacki w A., Jędrzej Malinowski w Cz., Marya Korytkowa w S., Maciej Wojtowicz w M., Jędrzej Kopta w Ch., Jan Kras w G., Piotr Stach w K., Franciszek Wojtyna w T., Józef Kupiec w W., Piotr Jaworczak w B.: *Rolę* wraz z czekiem wysyłamy. Piękny „Kalendarc Powszechny“ zaraz po otrzymaniu całorocznej prenumeraty za r. 1910 wyślemy. Prosimy o pośpiech, gdyż „Kalendarzy“ mamy już niewielki zapas. — P. Wojciech Kapuściński w P.: Wysyłamy. — P. Jan Bukowy w M.: *Rolę* wraz z czekiem wysyłamy. Kalendarz wyślemy dopiero, gdy otrzymamy prenumeratę. W dniu 30 stycznia musiałby Pan już dołożyć 30 h. na przesyłkę. — P. Jakób Kasiarz w S.: *Rolę* wysyłamy, ale prosimy wcześniej nadesłać prenumeratę, bo 15 lutego już Kalendarzy nie będzie. — P. Antoni Niedzielski w N.: Prenumerata jeszcze nie nadeszła, prosimy więc posłać, a „Kalendarz“ natychmiast wyślemy. — P. Władysław Moskal w G.: Po otrzzmaniu 2 kor. „Kalendarza i *Roli* posyłać nie możemy, gdyż sam „Kalendarz“ kosztuje 2 kor., musielibyśmy więc *Rolę* zadarmo posyłać. Prosimy o resztę całorocznej prenumeraty, a „Kalendarz“ poślemy. O artykuły prosimy. — P. Józef Strug w L.: Wysyłamy. — P. Jędrzej Postrożny w S.: Nietylko pługiem, ale i piórem włada Pan doskonale. Prosimy przysłać nam coś więcej do gazetki. — P. Antoni Radzeń w K.: Wysyłamy. Ks. Franciszek Wąsowicz w G. Za łaskawe pośrednictwo serdecznie dziękujemy. Jan Bratek w W.: 3 K za rok 1909 otrzymaliśmy. Po otrzymaniu prenumeraty za rok 1910 Kalendarz wyślemy. Franciszek Gołępa w B.: Ufamy przyrzeczeniu i posyłamy *Rolę*. Kalendarz wyślemy po otrzymaniu prenumeraty. Prosimy o jednanie prenumeratorów, bo gazetka tak tania, że tańsza być nie może. Sam „Kalendarz“ kosztuje w księgarni 2 K, wysyłka „Kalendarza“ 30 h., wysyłka przez cały rok *Roli* 1 K 4 h. czyli razem 3 K 34 h., zostaje więc z 4 K prenumeraty tylko 66 h. za gazetkę, czyli mało co więcej jak 1 h. za numer. Chyba już tańszego pisma niema na całym świecie — zwłaszcza pisma takiego jak *Rola*. My dajemy pismo tak tanio, licząc na bardzo wielką ilość prenumeratorów. O zyski nam nie chodzi, ale zależy nam na tem, aby oświata rozszerzała się po całej polskiej ziemi. Dziś lichy obrazek kosztuje 2 h. — Karol Wnęk w J. Posyłamy według życzenia. — Jan Miazga w B. K. Dla dobra czytelników i my życzymy sobie, aby *Rola* miała kilkanaście tysięcy prenumeratorów. W wiadomej sprawie prosimy zwrócić się do Krajowego Biura pośrednictwa pracy.— Czytelnik *Roli* w Zakościelu: Adresy zmieniliśmy. — Franciszek Zając w B.: Pieniądze na *Rolę* należy przesyłać pod adresem: Administracya Roli, Kraków ul. Garncarska l. 1. — Józef Groń w J. Kto chce otrzymać „Kalendarz“ musi bezwarunkowo zapłacić z góry całoroczną prenumeratę i to wprost pod adresem naszej Administracyi. — Zarząd Koła T. S. L. w Mikołajowie. Prenumeratę otrzymaliśmy już po wysłaniu nr. 2. „Kalendarz“ wysyłamy więc z nr. 3-cim. — Wszystkim, którzy prosili o czeki, wysyłamy je z niniejszym numerem *Roli*. Tych zaś, którzy już prenumeratę przesłali, a mają czek dołączony, prosimy by go dali komu z sąsiadów i zachęcili do przesłania prenumeraty. — Józef Trembecki w P. Wysyłamy. — Jan Prząda w Ł. Otrzymaliśmy. „Kalendarz“ wysłany z nr. 2. — Jan Dudar w B. Otrzymaliśmy — „Kalendarz“ wysyłamy. — Gaweł Marcin w W. Wysyłamy, prosimy o prenumeratę. — Zofia Leja w G. Wysyłamy. — Józef Roszek w U. Dobrze. — Józef Stypa w P. *Rolę* wysyłamy. Zaczekamy do 1 lutego, ale na przesyłkę „Kalendarza“ trzeba dołączyć 30 h. — Antoni Zając w S. „Kalendarz“ wysłaliśmy z nr. 2. Prosimy upomnieć się na poczcie — my również upomnimy się. — Leon Malczyk w B. „Kalendarz“ wysyłamy.

W dalszym ciągu całoroczną prenumeratę nadesłali PP.: Ks. Jan Markiewicz w K., Władysław Rymarczyk w P., Jan Rymarczyk w P., Włodzimierz Hupka w B., Jędrzej Skoczek w K., Fihauserowa w B., Jakób Ruchlewicz w B., Andrzej Szpetnar w Ż., Marya Bertholdówna w H., Wojciech Pawlik w S., Józef Kluz w M., Wojciech Kuda w M., Jan Urban w N., Fr. Kurowski w S., Jan Sowa w N., Fr. Cyran w M., Kółko rolnicze w Łętowni, Wojciech Stec w B., Michał Kot w P., Jakób Pułka w Rz., Michał Petryka w B., Stanisław Witek w Cz., Jan Rączka w O., Ks. Józef Bryja w G. Jędrzej Barko w T., Jan Budar w B., (6 K), Księgarnia p. Bilewicza w Żywcu dla Urzędów gminnych w Czernichowie, Stryszawie, Biernej i Lipowej, Felicya Czerwińska w B., Wojciech Rusinek w B., Ignacy Kozik w Ch., Józef Kowalski w K., Antoni Gniadek w B, Mateusz Zięba w O., Ks. Antoni Kmietowicz w R., Zarząd Koła T. S. L. w Mikołajowie, Józef Grudziński w W., Antoni Kosman w B., Michał Konicki w M., Józef Sługocki w H., Wojciech Cetera w Ch., Michał Rzym w Z, Wiktor Sługocki w H., Ks. Franciszek Wąsik w P., Franciszek Huczek w P., Franciszek Guładek w G., Jan Kurcab w P., Piotr Zawada w Cz., Wawrzyniec Lis w Cz., Tadeusz Dul w G., Józef Maciek w G., S.S. Dominikanki w Nawojowej, Jan Gaj w G., Józef Groń w J., Stanisław Konopka w M., Józef Nawrocki w Z., Jan Paluch w Z., Jan Dajda w W, Jan Janiec w S., Józef Roszek w U., (dla Alojzego Kuski). Bartłomiej Macek w N., Wincenty Kulczycki w K., Anna Torosiewiczowa w P., Franciszek Kwaśniewski w K., Konrad Weissbrod w R., St. Mikulski w K., Piotr Lesiecki w G., Adam Świątek w S., Ks. W. Dąbrowski w R., Jędrzej Bal w M., Augustowa hr. Berza w W. Tomasz Czernek w C., Ferdynand Kuraś w T. 8 K dla Rafała Czecha w W. i Franciszka Kukiełki w K., J. Wójcik w J., J. Maziarz w Z., J. Wawrzycki w U. 20 kor. dla Józefa Wawrzyckiego, Józefa Malca, Józefa Koziora, Wojciecha Kowala i Piotra Motwija z U. Józef Wyczesany w W. 20 kor. dla Józefa Wyczesanego, Jana Babuli, Jana Przebiegleca, Józefa Haracza i Marcina Szpaka w W. Stanisław Smolak w K., Grzegorz Zych w M., Stanisław Drobczyński w S., Ks. Artyl w B., Ludwik Wajda w P., Józefa Hirszberg w K., Ks. Franciszek Wala w G., Jan Makuch w P., Jan Nowicki w K., Dominik Karczmarski w P., Franciszek Kolano w Z., Rafał Szołdra w R., Adela Bezokówna w K., Ks. Józef Głuc w O., Stanisław Kania w O., Józef Szpytma w M., Jan Słyszko w W., Jadwiga Januszewska w S. Stefania Godekówna w Ł., Karol Wnęk w J., Jakób Śmietana w Ł., Jędrzej Malinowski w Cz., Jan Pieklus w P. Szczepan Czerniecki w H., Jan Liptak w B., Piotr Świrad w Cz., K. Wojciechowski w L., Wincenty Grzywacz w K. Józef Strug w L., Piotr Bachła w N., Jędrzej Drżał w G., Jan Kawczak w O., Józef Witkowski w N., Michał Szostak w H., Maciej Jonas w O., Karol Czecz w B., Wydział powiatowy w Jaworowie (20 kor.).

Półroczną prenumeratę nadesłali PP.: Ferdynand Kuraś w T., Postrożny Jędrzej w S., Leon Malczyk w B. (za II. półrocze 1910 r.). Franciszek Furmanik w G. (2 kor. 68 h. Dobrze – Wysyłamy.

Ceny bydła na targowicy krakowskiej w dniu 11 stycznia:

Buhaje	Kor.	60	do	240	za sztukę
Woły z paszy	„	150	„	305	„
Krowy	„	70	„	240	„
Jałówki	„	36	„	190	„
Cielęta	„	20	„	80	„
Świnie	„	140	„	156	za 100 kg.

Ceny zboża na targu Kleparskim w Krakowie 11 stycznia:

Pszenica	Kor.	13·50	do	13·90	za 50 kg.
Żyto	„	9·60	„	9·90	„
Jęczmień	„	7·60	„	7·80	„
Owies	„	8·10	„	8·20	„

Mąż do żony: Jutro przypada post, trzeba pomyśleć o umartwieniu ciała. Każ przeto zrobić zamiast 30 jak zwykle, tylko 20 pirogów; ale, dodał po chwili, niech będą cokolwiek większe.

U LEKARZA W MAŁEM MIASTECZKU.

Chory: Czy pan doktór w domu?

Żona doktora (żydówka): Kto? pan doktór? Niema, pojechał do ciężkie chorobe.

Wydawcy: Dr. Jan Hupka i Jan Kaczak. Odpowiedzialny redaktor: Antoni St. Bassara.

Drukarnia W. Korneckiego i K. Wojnara w Krakowie pod zarządem Adolfa Nowaka.